



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Joanna Oblakana przez Michała Gliszczyńskiego. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. — Kronika teatralna. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — Artykuł nadesłany. — O ubiorach. — Wiadomości gospodarskie. — Doniesienia.

JOANNA OBLAKANA (1)

przez
Michała Gliszczyńskiego.

W miarę tego jak się otwierają sekretne archiwa, wiele wypadków zapisanych w historii, w innym zupełnie pokazuje się światło. Prawda wychodzi na jaw a my nowsi nieraz przymuszani jesteśmy przeobrażać wcześniejsze nasze prace i przemieniać charakterystykę epoki i osób.

Wszyscy dotąd historycy, powtarzali o Joannie Oblakanej legendę a nie historję, a legenda ta była następująca:

Joanna, córka Ferdynanda i Izabelli hiszpańskich, tak bardzo kochała swojego męża Filipa Burgundzkiego, że zazdrość często przywodziła ją do szaleństwa a po śmierci męża straciła zupełnie rozum, nie chciała się rozłączyć z jego ciałem, kazała je wszędzie z sobą wozic i wreszcie musiano ją zamknąć jako warjatkę.

Tym czasem w r. 1867 Bergenroth (2) podparty przez konsula pruskiego p. Werthera, potrafił dostać się do tajemnego archiwum hiszpańskiego w Simancas, gdzie między innymi ciekawymi dokumentami, znalazł autentyczne dowody, że Joanna nie była oblakana, ale była ofiarą chciwości i politycznych widoków męża, ojca i syna.

Oto treść tych nowych a niezbitych świadectw:

Joanna Kastylska, córka Ferdynanda Aragońskiego i Izabelli Kastylskiej, urodziła się r. 1479. Od młodości okazywała charakter gniewliwy, niepodległy a nawet trochę eudacki; od młodości np. nie cierpiała inkwizycji, za co dużo cierpiała od matki, a potem poczytano jej to za najwidoczniejszy objaw szaleństwa.

(1) Michał Gliszczyński wykończył do druku nowe dzieło pod tytułem: *Biografie znakomitych kobiet w polityce, w piśmiennictwie w sztukach i obyczajach od Narodzenia J. Chrystusa do ostatnich czasów*. Szanowny autor udzielił kilka takich biografij do naszego Tygodnika. P. R.

(2) Bergenroth sekretarz konsulatu pruskiego, wydał znalezione w Simancas dokumenta w całości (in extenso) po niemiecku z tłumaczeniem angielskim w Piśmie wychodzącym w Londynie: *State Papers*. Umarł tego roku w Marcu.

stwa co się w wiekach średnich nieraz praktykowało. Oczywiście przywiązała się z całego serca do Filipa Burgundzkiego, bo był i bardzo przystojny i wyswobadzał ją z pod strasznej tyranji; zaślubiła go mając lat 17. Za ledwie przybyła do Bruxelli rozeszła się wieść że wpadła w kacerstwo. Izabella posłała zaraz do niej kilku mnichów, żeby ją pilnowali. Nie słuchała żadnego z nich a zatrzymała przy sobie teologów sorbańskich (francuzkich). Ferdynand mąż Izabelli i klerykałni podzegli tę niezgodę między matką i córką bo były prawdziwymi monarhiniami i można było w mętnej wodzie ryby łapać. Zgoda ich byłaby odebrała Ferdynandowi nadzieję połączenia Kastylji z Aragonją i byłaby zabiła inkwizycją tak potrzebną duchowieństwu do samowładnego panowania w Hiszpanji a młode małżeństwo żyło spokojnie: czasami tylko zachmurzone przez niepomiarowaną zazdrość Joanny.

Roku 1502 przybyli do Madrytu. Ferdynand rozgniewany na zięcia za zawarcie niekorzystnego pokoju z królem francuzkim w Lyon, chciał się go pozbyć. Joanna widząc że Filip długo nie wraca, stała się wielce niespokojną i za ledwie urodziła syna, owego sławnego Karola V, chciała odjechać do męża; zatrzymano ją przemocą, uciekła potajemnie, dognano ją w Medina del Campo 1504; przez kilkanaście dni nie chciała wejść do swoich pokojów. Matka myślała może, że córka jej była chorą na umyśle, może o tem z poufnymi rozmawiała, może nawet, jako gorliwa katoliczka chciała Joannę usunąć od rządów, ale nie o tem w swoim testamentcie nie wspomniała a regencję powierzyła mężowi. Ferdynand wydał do narodu odezwę, że korona z prawa należy się Joannie, ale on będzie rządził do śmierci, bo Joanna jest teraz słabą. Owóż pierwsze napomknienie, i to przez własnego ojca, o chorobie Joanny.

Że Joanna nie była chorą dowodem jest to, że Filip jej mąż zaprotestował zaraz głośno przeciw rozgłaszanym potwarzom, że żona jego jest chorą na umyśle. W krótko przybył na czele wojsk domagać się Kastylskiej korony dla żony i dla siebie. Ferdynand wpadł w wściekłość, ale wnet zmienił chorągiewkę, bo się zjawilo trzecie stronnictwo które nie chciało, ani Ferdynanda ani Filipa, ale tylko samą Joannę. W takim położeniu rzeczy Ferdynand i Filip porozumieli się i dnia 26 Lipca zjechał się w Villafafila i urządzili tam, opierając się na excentryczności charakteru i obojętności religijnej Joanny, ogłosić ją za oblakana; Ferdynand będzie rządził Hiszpanją do śmierci a potem ją odda Filipowi. Nie długo potem Król-regent pojechał do Włoch, zostawiając w Burgos swojego faworyta Ludwika Fer-

rera, żeby pilnował zięcia i córki. Ferrer tak dobrze zrozumiał polecenie swego monarchy że Filip zaraz umarł. Wszyscy wiedzieli że go otruto, ale doktorzy przy balsamowaniu nie oglądali wnętrzości i kazali je zaraz zagrzebać. Sądy sprawę przytłumiły.

Owóż Joanna wdową a w posagu miała koronę Kastylską; pretendentów do jej ręki było wielu; między nimi Gaston de Foix i Henryk VII Król angielski. Wtedy Ferdynand katolicki napisał listy do wszystkich dworów z uwiadomieniem o oblakaniu swjej córki i wypowiada w nich swoją głęboką boleść nad tak wielkiem nieszczęściem. Te to listy dały powód do owej legendy, która do dziś dnia utrzymywana się w historii, bez względu na to że współczesni pisarze nie o tem oblakaniu nie mówią. Uwierzono ojcu, bo nie przypuszczano żeby serce rodzicielskie tak srodze obeszło się z własnym dzieckiem. Nieprzparte świadectwa, świeżo odkryte, dowiodły że serce a polityka to zupełnie co innego. Pierwszy Sandoval w swojej historii Karola V napisanej na początku 17 wieku, kategorycznie napisał że Joanna była oblakana; ale i on dodaje: *pues dicen* — jak mówią.

Co więcej z papierów ogłoszonych przez Bergenrotha dowiadujemy się, że zaraz po widzeniu się Filipa z Ferdynandem w Villafafila, Joanna została uwięzioną, a zatem nie mogła na pogrzebie męża robić tego o czem mówi legenda. Wiemy znowu z kąd inąd, że Joanna wysledziła stosunek swojego męża z jakąś panią dworską, że jej zrobiła publicznie gwałtowną scenę i że mąż odtąd jeszcze więcej od niej stronił. Nie długo potem Filip dowiedział się, że żona jego pisała do ojca i pochwalała wszystko co Ferdynand zrobił. Mąż list taki wziął za zbrodnię stanu i żonę zamknął. Więzienie to nie otwarło się przed nią nawet wtedy, kiedy po śmierci męża powróciła do Hiszpanji, bo kiedy w r. 1520 rewolucja wewnętrzna na chwilę ją uwolniła, to slugi Joanny wszystkie pod przysięgą zeznały, że już od 14 lat siedziała w więzieniu. Mąż i ojciec sprzysięgli się na nią. Mąż w części dla interesu w części z brutalstwa, ale ojciec to już wyraźnie przez żądzę panowania więził swą córkę — a w dodatku dla upozorowania takiej zbrodni ogłosił ją za warjatkę.

Filip umarł w Burgos; ciało jego miano przewieźć do Grenady. Ferrer który pilnował królowej ułożył tak tę smutną uroczystość, że przewiezienie ciała nastąpiło razem z podróżą Joanny do zamku Tordesillas, gdzie miała mieszkać. Oczywiście chciano tym sposobem utwierdzić pogłoski, że Joanna po śmierci męża dostała oblakania z żalu, że uparła się przy tej myśli że on żywy, i że go kazała wszędzie z sobą

wozić. Możemy łatwo wyobrazić sobie jakie to wrażenie robił na umysły, ów nocny kondukt przy świetle pochodni — mąż umarły i żona obłąkana, jak mówiono. A nie była obłąkana! Chciano nieraz wymódz na niej podpis jakiego aktu, nigdy nie chciała nic podpisać. Przez całe życie jeden tylko akt podpisała i to bardzo rozumny; na mocy którego dobra koronne, rozdane wysokię szlachcie przez jej matkę, miały być natychmiast powrócone koronie. Nim wyjechała z Burgos, kazała sobie otworzyć trumnę, żeby ukochanego męża raz jeszcze zobaczyć, ale nie tylko nie robiła nic rażącego, ale nawet nie płakała. W Tode Sillas, gdzie ją zamknięto, ciało Filipa leżało w klasztorze Santa Clara, bo grób w Grenadzie nie był jeszcze gotowy. Joanna przez całe piętnaście lat nie zapragnęła ani razu widzieć go, a ze swoim strażnikiem mówiła zawsze o Filipie, jak każda wdowa i nikt nigdy nie słyszał żeby męża uważała za żywego.

Od śmierci Filipa aż do powstania *comunidades* (miast) w 1520 r. Joanna mieszkała w Tordesillas w więzieniu. Ojciec jej umarł 1516 a syn Karol V wstąpił na tron. Był on wychowany przez swoją ciotkę Małgorzatę w Brukseli, jako przyszły dziedzic trzech ogromnych i bogatych krajów, w tej myśli, że jest przeznaczony na to, żeby utworzył jedną wielką monarchię i jedną religię. Owóż gdyby był musiał oddać matce Hiszpanię, toby mu się tem samem wymknął z ręki węgielny kamień przyszłej wielkości. A zatem Karol V miał jeszcze większy interes w tem żeby matka była obłąkana i w fortecy zamknięta. Mąż poświęcał żonę skapstwu i rozpucie; ojciec poświęcił córkę żądzy panowania, a syn poświęcił matkę urojonomu posłannictwu...

Możemy się dało jako tako uniewinnić syna! Karol działał prawie bezwiednie, bo miał za ledwie szesnaście lat kiedy dziad jego umarł, bo od dzieciństwa powtarzano mu, że matka zamknięta bo obłąkana, bo kochał i szanował dziadka, nie mógł więc posądzać go o zbrodnicze postąpienie z jego matką. Przybywszy do Hiszpanji r. 1517 odwiedził matkę w Tordesillas i zapewne widział że jest zdrową chociaż rozdrażnioną; że jeżeli nie może rządzić, to może przynajmniej żyć na wolności; ale nasiąknawszy już raz uprzedzeniem i swoim posłannictwem, zostawił matkę tak jak była i odtąd ciężko jest winien względem natury i ludzkości.

Zdawało się w pierwszych dniach nowego rządu, że los królowy Joanny dozna jakiejś ulgi. Kardynał Ximenes (Cisneros) wielokról hiszpański przed przybyciem Karola V nie cierpiąc Aragończyków, usunął zaraz strasznego dozorcę Joanny owego Ludwika Ferrera co zabił jej męża, a ją samą męczył torturami — Tłómaczył on się że mu Ferdynand dał taki rozkaz; ale Ximenes nie słuchał tego uniewinnienia a do Karola posłał z zawiadomieniem jak się z jego matką obchodzą.

Diego Lopez de Ayala bawiący na dworze bruxelskim, pisze do Ximena: „O zdrowiu królowej mówią tu tylko *propter formam* i wcale nie żądają tego żeby wyzdrowiała. Są to niebezpieczni ludzie i trzeba tu dobrze pilnować języka w gębie.“ Ayala prawdę pisze bo w r. 1518 Joanna miała już chwilowe napady czarnej melancholji.

Nie ma nigdzie najmniejszego śladu odwiedzin Karola u matki. Mianował przy niej gubernatorem, intendentem i strażnikiem Bernarda de Sandoval y Royas hrabiego Lerma margrabiego Denia. Od tego czasu mamy już ciągłe i wiarogodne dokumenta o Joannie, bo Denia wyprawiał podwójne depesze do króla: jedne, które miały być czytane przed panami rady, a drugie sekretne tylko dla niego. Karol przypuściwszy go do tej tajemnicy stanu, zalecił mu aby był bardzo ostrożnym, żeby nigdy z Joanną nie rozmawiał przy nikim, ani nawet przy jej kobietach nadwornych i przy służbie. Pochwalił go bardzo za to że nie pozwala królowej wychodzić: „We wszystkim co się tyczy J. K. Mości odnoś się prosto do mnie i przez pewnego posłańca, bo sprawa ta jest dla mnie bardzo ważną i drażliwą.“

Denia odpowiada że pojmuję to dobrze i przyrzeka „że się nikt nie dowie o prawdziwym stanie królowej“. W innym liście zapewnia Karola, że nawet brat jego Ferdynand nie będzie nic wiedział co się dzieje z jego matką.

I po cóż tyle ostrożności? Czy dla tego żeby ukryć obłąkanie Joanny, o którym wszyscy już wiedzieli?

Nie! Oto dla tego żeby się nie wykryła prawda, że królowa zdrowa i nie ma wcale obłąkania; jest tylko bardzo rozdrażniona z natury i przez tyloletnie więzienie. Dokumenta, wydane przez Bergenrotha dowodzą tego niezbitym dowodem.

To co nazywano pompatycznie pałacem w Tordesillas, było rzeczywiście prostym miejskim domem, bez pigra nawet. Większą część tego domu zajmowała infantka Catalina, urodzona we dwa tygodnie po śmierci ojca, Denia ze swoją rodziną i służbą królowej Joanny. Sama zaś królowa mieszkała w małym pokoiku, zupełnie ciemnym, bez okien, w którym dzień i noc paliła się lampa. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było wyjść z tego grobu. Napróżno Catalina pisała do brata, zaktinając go na wszystko co jest najświętszego, żeby pozwolono królowej przechadzać się po korytarzu i odetchnąć kiedy niekiedy świeżem powietrzem. Ponieważ przechodzący ulicą mogliby usłyszyć jej wołanie, uznał Karol V za stosowniejsze nie wypuszczać matki z czarnego pokoju. Przez cały czas swojego więzienia za ledwie pięć razy wychodziła i to otoczona jak najściślejszą strażą.

Wyznaczono jej pensji 30,000 talarów, ale z summy tej utrzymywano infantkę, płacono pensję margrabiego, jego rodzinie i służbie. Nigdy żaden mężczyzna nie był do tego domu wpuszczony; kobiet do pilnowania Joanny było dwanaście. Dozorca jenerałny często się użalał że nie może im dać rady. Niechby tylko którą pokajał „wszystkie zaraz wrzeszczały, gotowe do walki jakby jaki pułk. Nie puszczano ich nigdzie, to też wszelkich sposobów używały, żeby się dostać do miasta i nagadać. Mimo najsurowsze zakazy umiały omylić czujność straży, i roznosiły pogadanki o prawdziwym stanie Joanny. A że to były kobety zameżne i po największej części żony radców królewskich, musiano im kiedy niekiedy pozwalać widzieć się z mężami i krewnymi. Narzeka na to Denia w liście do Karola: „Odwiedzając mężów, krewnych i znajomych, nie bez tego, żeby im się jakie słówko nie wymknęło o tem, czego nikt wiedzieć nie powinien. Niedawno radca Gomez zadawał mi pytania, o takie rzeczy, których się nie mógł dowiedzieć tylko od swojej żony Lenory Gomez, kobiety bardzo gadatliwej. Zdaje mi się że lepiej by było przyjmować same panny, bo to co się tu dzieje, powinno być ukryte przed wszystkimi a szczególnie przed królewskimi radcami.“ Na cóż taka ostrożność i tajemnica? Bo zaczynano już mocno wątpić o obłąkaniu Joanny. A czemuż nie pokazano jej publicznie, żeby wszystkich od razu przekonać jak rzeczy stoją?

Bywały jednak zdarzenia, że trzeba było wpuścić jakiego mężczyznę do zamku. W r. 1519 Joanna zachorowała na prawdę: „J. K. Mość miała przez dziesięć dni gorączkę i zażądała doktora, ale ponieważ gorączka zmniejszała się nie wezwałem nikogo.“ Paradny człowiek ten Denia! Gorączka się zmniejszała po dziesięciu dniach! Nie długo potem zachorowała infantka i to nie na bardzo piękną chorobę bo na świerz. Z początku leczyły ją kobiety, ale choroba wzmagała się trzeba było wezwać lekarza. Wybrano doktora Soto, dawnego lekarza Joanny, który już wiedział po trochu co się święci. Mimo najstaranniejsze środki, Joanna potrafiła kilka słów powiedzieć doktorowi a Denia pisze zaraz do Karola V żeby go „obspisał honorami i bogactwami a będzie milczał.“

Infantka pisywała ciągle do brata listy pełne swobody, a nawet wesołości; wszyscy dziwili się temu, że córka mogła być wesołą przy takim stanie swjej matki i że młoda dziewczyna mogła się przyzwyczaić do takiego życia. Pokazało się z ogłoszenia Bergenrotha że listy te dyktowała infantce żona gubernatora. W r. 1521 zdołała przecież przesłać bratu list, a raczej własny memorjał, który brzmi zupełnie inaczej niż owe listy. Wylicza w nim swoje i matki swojej cierpienia; opowiada ile tu znoszą przykrości z powodu skapstwa i brutalstwa dozorców, żali się że ją rewidują kiedy wychodzi lub wraca, że margrabia Denia twardo się z nią obchodzi, że córki jego chodzą w jej sukniach i noszą jej brylanty, że nie pozwalają jej odwiedzać matki ani matce zobaczyć się z córką. Kiedy raz dostała list od hrabiny Medica, żony admirała, ubolewający nad losem Joanny, to o mało jej „oczów nie wydarli.“

Jeżeli trudno było o doktorów w Tordesillas, za to nie brakowało księży. Odznaczali się gorliwością w nawracaniu Joanny: Jan de Asila i Antoni de Villegas, bo królowa była bardzo chłodną i rzadko się

religią zajmowała, mszy wcale nie chciała słuchać. Listy Denii dużo o tem piszą, indifferentyzm chciano sprzedać za szaleństwo, co w owych czasach jedno prawie znaczyło. Skłoniła się wreszcie jednego dnia do słuchania mszy, ale kiedy podano jej ewangelię do ucałowania kazała ją podać córce, a sama wyrzekała się tego królewskiego przywileju. Co ją do tego kroku przymusiło? Czy kazania mnichów? Czy może owa *cuerda*? Kto wie czy ten ostatni środek nie grał tu najważniejszej roli?

d. c. n.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Tak samo będzie i ze Snopińskimi. Znam ja ich dobrze obojga! Ona dobra kobieta i Topolski nauczył ją wielu rzeczy, o których ten młodzik i wyobrażenia nie ma: on zdolny chłopak i sprytny, ani słowa! ale wietrznik, samolub, próżniak, hulaka. Dla czego oni pobrali się? czy znali siebie dobrze wzajemnie? czy mieli dla siebie szacunek? czy pewni byli że charaktery ich pogodzą się przez całe życie? Gdzie tam! ona młoda i żywa zapragnęła nowych wrażeń, dała się odurzyć jego słodkim słówkom, rozkochała się w jego gładkiej twarzy, on zapalił się do gładziej dziewczyny, chciał zwyciężyć Topolskiego, może i Niemenka uśmiechnęła się trochę, paf! pobrali się! I kiepsko będzie mosanie! Pierwszy rok pójdzie jak po maśle, w drugi zacznie się już gruda, a w trzecim będzie już strasznie zła droga i im dalej tem gorsza. Ona stanie się jemu prędko ciężarem i kulą u nogi, on jej zgryzotą codzienną i ciągłym obrazem rozczarowania. Bo widzisz mospanie, mnie się zdaje że ona jak szła za niego to była chora na tę chorobę co to nazywa się hallucynacja, a w hallucynacji człowiek widzi różne dziwolągi których w istocie nie ma.

Otóż on ją prędko z tej choroby wyleczy, a ona jak wyzdrowieje, to i zobaczy że nie jest już Wincunią Niemeńską hożą, świeżą i wesołą narzeczoną poczciwego Topolskiego, ale Wincentą Snopińską zmęczoną, smutną, rozczarowaną żoną młokosa, który będzie o nią dbał jak o piąte koło u woza i będzie ją porzucał, aby grać w bilard u Szlomy albo zalecanki stroić do panien w salonach i nie w salonach... at!...

Machnął ręką p. Tomasz i mówił dalej do sąsiada, który go słuchał pół zdziwiony, pół przekonany.

— Miej to sobie waszmość za zasadę, kiedy chcecie wiedzieć czy ludzie długo będą z sobą szczęśliwi, patrzaj na nich nie wtedy gdy całują się, ale wtedy gdy się nie całują. Jeżeli on po ślubie zaraz bierze się do swojej pracy, jak gdyby nic nie zaszło, i ona tak samo zajmuje się czemkolwiek, a dopiero gdy zrobią co do nich należy pocałują się i to tak żeby nikt nie widział, dobrze! będą szczęśliwi!.. Jeżeli siedząc przy sobie tak czasem zagadają się że i zapomną pocałować się przez kilka godzin, dobrze! będą szczęśliwi!

Ale jeżeli oboje nic nie robią, niczem się nie zajmują, tylko patrzą sobie w oczy od rana do wieczora i to nie zważając, czy kto na nich patrzy czy nie patrzy, kiepsko będzie mospanie! I jeżeli siedząc przy sobie nie do siebie nie mówią tylko całują się, a jak nie całują się to poziewają, oj! będzie bardzo kiepsko! A dla czego, mospanie? dla tego że oni łącząc się nie rozumieli widać co to jest małżeństwo, familja. Oni myśleli że to ot sobie, zabawka, przyjemność, dogodzenie zachciance, a nie powstało im w głowach że to połączenie dwojga ludzi, dla tego aby jedno drugiemu pomagało w pracy i jedno drugiemu doskonaliło duszę. Jak oni będą sobie pomagać kiedy oboje próżnują? Jak udoskonalą wza-

jennie swoje dusze, kiedy nie mają o czym mówić z sobą? Pocałunki prędko spowszedniają i sprzykrzą się, potem zaczynają oni poziewać siedząc przy sobie, potem sprzeczać się, potem klócić, potem przestaną zupełnie do siebie mówić a potem i patrząc już na siebie nie zechcą i albo rozstaną się albo będą żyć w jednym domu, jak nie przymierzając kot z psem w jednym worku! Bo to widzisz waszmość cała sztuka w tem, żeby człowiek biorąc się do czego rozumiał dla czego to robi i wchodząc na jaką drogę, wiedział do jakiego celu idzie a jak młodzi ludzie łączą się w małżeństwo nie znając siebie i nie rozumiejąc co to jest familja, to i nie rozumieją co robia i nie wiedzą do czego mają dążyć. A gdzie nie ma rozumienia roboty tam robota kiepska, i gdzie cel niewyraźny tam drogi błędne... Sąsiad słuchał uważnie i nie wiadomo było czy zrozumiał czy nie zrozumiał mowy p. Tomasza, ale odtąd zaczął przy sposobności pilnie obserwować młodych Snopińskich.

Zajęła go szczególnie uwaga starego oryginała o poziewaniu młodego małżeństwa i takim zagadaniu się serdecznem, żeby aż dało ono zapomnieć o pocałunku. Patrzył tedy raz sąsiad na Snopińskich i myślał sobie: czy zagadają się, czy ziewną? A siedzieli obok siebie i nie zważając na liczne otaczające grono trzymali się za ręce. Z początku zaczęli z sobą coś rozmawiać, on ją o coś zapytał i pocałował ją w rączkę, ona mu odpowiedziała i pocałowali się w usta, potem umilkli. Sąsiad patrzył ciągle i myślał sobie: ciekawym czy też zagadają się tak, od serca? Patrzył i patrzył a młoda para nie mówiła nic do siebie: — chciał już odejść bo go sfatygoowało długie obserwowanie, gdy nagle spostrzegł że Aleksander odwrócił nieco twarz od żony i skrycie ziewnął; pobudzona tem Wincunia odwróciła się także i ziewnęła.

Sąsiad zrobił wielkie oczy. A! pomyślał, ten stary oryginał to czarownik chyba, jak on odgadł że oni muszą albo zagadać się albo poziewać! Spojrzał na Snopińskich, znowu całowali się, ale w oczach ich było coś co zakrawało na poziewanie i sąsiad odwracając się mimo woli powtórzył słowa p. Tomasza, kiepsko mospanie!

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że państwo Snopińscy przez pierwsze półrocze swego pożycia, byli zachwyceni sobą, życiem i całym światem. Nic nie robili tylko bawili się i kochali, jeździli po sąsiedztwie, spraszali do siebie gości, Aleksander sprowadzał dla żony z miasta suknie, kwiaty i różne cacka, Wincunia cieszyła się nowymi sprzętami w domu, ustawiała je, zdobiła pokoje kwiatami, sama co dzień inaczej zaplatała włosy pytając się lusterka, czy w takim uczesaniu podobam się więcej Olesiu? Oles ję powtarzał ciągle, że ona jemu zawsze, w każdym stroju i w każdej chwili podoba się i podobać się będzie wiecznie, ale ona chciała więcej jeszcze więcej i nie wiedziała już jakich barw dobrać do ubrania, w jakie by najmisterniejsze swoje upleść włosy żeby wydać się piękna — najpiękniejszą oczom Olesia. Różowa perkalowa sukienka poszła gdzieś na dno jakiejś szuflady, jako nie zdalny antyk którego się chowa na pamiątkę, a Wincunia nosiła niekiedy czarne suknie, bo przy nich najlepiej odbijała białosc jej twarzy, albo błękitne bo barwa ta godziła się ślicznie z lśniącym kolorem jej włosów, albo białe bo Oles po raz pierwszy wyraźnie powiedział jej, że ją kocha gdy była w białej sukni. Aleksander uwielbiał żonę, gdy skończywszy toaletę wychodziła ze swego pokoju świeża, strojna nie ledwie świetna. Padał przed nią na kolana i całując jej ręce wołał: moje Bóstwo! Porywał ją czasem na ręce i nosił po pokojach jak dziecko, okrywając pocałunkami chciałby ją całemu Światu pokazać — woził ją nieustannie po sąsiedztwie i gości spraszal do siebie bez miary, w Niemence ciągle był huk, szum, turkot, okna rzęście oświetlone po całych nocach — niekiedy muzyka a często tańce. Te ostatnie bywały czasem i wtedy gdy nikogo z obcych nie było. Aleksander prowadził Ciotkę żony do fortepianu i prosił żeby zagrała jakiegoś staroświeckiego walca, a sam porywał Wincunię i kręcił się z nią po wszystkich pokojach aż póki oboje śmiejąc się głośno i ledwie oddychając że zmęczenie nia upadli na krzesło. Raz pochwycił jakiegoś starego urzędnika z sąsiedztwa i prozbami zmusił go aby mu pokazał jak się tańczył niegdys menuet, odtąd tańczył często z Wincunią menueta, a pani Niemeńska grała kładąc się od śmiechu. Ale gorzej było gdy raz mając Rodziców u siebie, przyczepił się do Ojca i do Ciotki aby oni menueta tańczyli. Naprawdę wzbranił się, śmieli się i obu-

rzali starzy, kiedy Aleksander zaczął przymilać się i po swojemu prosić nie było sposobu oparcia się. Wincunia siadała do fortepianu i grała menueta, którego się była wyuczyła od Ciotki a p. Jerzy z panią Niemeńską tańczyli, Aleksander stał między nimi i wołał co chwilę, na prawo, Papunieczku! na lewo Ciotucho! głębszy ukłon, Ciociu Dobrodzijek! wyżej podskoczyć należało, papuniu Dobrodzijeku! Pan Jerzy i pani Niemeńska skończywszy menueta bez tchu padli na kanapę ale śmieli się i byli w najlepszych humorach, bo Aleksander i Wincunia klęcząc przed nimi śmieli się także, tulili się do nich i całowali ich ręce.

Choć pierwsze miesiące po ich pobraniu się były jesienne i zimowe, w domu ich była wiosna i lato. Kanarki śpiewały u okien w klatkach otoczonych gęstą zielenią, jaskrawe dywany na posadzkach przypominały klomby z kwiatami, dwa duże zwierciadła z ramami oplecionymi bluszczem odbijały postać Wincuni, gdzie się tylko obróciła.

Gdzie niedługo błyskał złocisty bronz, pasowe obicia mebli nadawały życie i barwy pokojom. Młoda para budziła się ze snu o jedenastej; o południu walcowym lub mazurkowym taktem wbiegała do jadalnego pokoju, gdzie ją z przygotowanym śniadaniem czekała p. Niemeńska, a potem rozpoczynały się biegania, śpiewy, tańce, całowania, goście i ciągnęło się to daleko za północ i najczęściej Niemenka usypiała wtedy, gdy pracowici ludzie wstawali do dziennej roboty.

I było tak pół roku. W tej epoce Aleksander i Wincunia wyglądali jak student i pensjonarka na wakacjach. Ani myślała o tem co było, ani chciała patrzeć w przyszłość: co będzie to będzie, tymczasem kochajmy się i hulajmy!

Przez cały ten czas Wincunia ani razu nie wspominała o Topolskim: ile razy przejeżdżała mimo Topolina odwracała głowę jakby obawiała się aby wspomnienie przeszłości, nie zmąciło choć jednej chwili w jej radośnych wakacjach.

I było tak pół roku — ach, to znaczy że potem zaczęło być inaczej. Niestety! zaczęło być inaczej, ale nie było jeszcze źle. Tylko trzeba było koniecznie obudzić się, przetrzeć oczy i spojrzeć na rzeczywistość, bo ciągle żyć we śnie nie podobna. Pani Niemeńska widokiem pierwszego półrocza upewniła się o szczęściu synowicy i odjechała, gdzie ją inne obowiązki, które miała jeszcze do spełnienia wołały. Wincunia wzięła w ręce gospodarstwo domowe. Chociaż przez to proza wtrąciła się do tej czarownej poezji w której pływała od kilku miesięcy, nie było to jej wcale przykre, owszem rada była nawet zajęciom które na nią spadły, bo jak to widział sąsiad po rozmowie z p. Tomaszem, zaczynała już była z lekka poziewać i złapała raz samą siebie na pewnym niespodzianem a tajemniczym zeznaniu: zmęczona jestem! W istocie, nogi jej bolały od tańców, gardło od śmiechu, głowa od wrzawy, a w sercu zaczynało być dziwnie jakoś pusto, a nie tak jeszcze w sercu jak w głowie. Brakowało jej czegoś, nie pojmowała czego, ale wytłómaczyła to sobie tak; zanadto bawiłam się trzeba wzięść się do pracy! I przypięła do paska pęk kluczyków i zaczęła gospodarować: odnowiła znajomość ze spiżarnią, spiżarnią, kuchnią, izbą czeladną, powitała znowu swoje kaczory zielonogłowe i różnobarwne gołąbki, — gospodarowała zawzięcie a potem czytywała.

Czytywała zaś sama. Dla czego sama? Bo Aleksander także zawzięcie gospodarzył. Na wiosnę ojciec rzekł do niego:

— Olesiu, czas abyś wziął się do gospodarstwa.

— Dobrze, papo, odpowiedział.

I wziął się. A zaczął od tego że od razu przerobił wszystko co było urządzone przez Topolskiego, i całą już uporządkowaną gospodarzkę do góry nogami przewrócił. Z czterech poletek zrobił trzy, łąki zapuścił na pastwiska, pastwiska na łąki, starą czeladź całą odprawił, przyjął nową, rasę bydła która była wyborna odmienił a nad tem wszystkim — namiestnikiem, ministrem i pierwszą po sobie figurą ustanowił swego faworyta Pawełka, który passowany został z furmańczuka i lokajczuka na godność kamerdynera, ekonomy, pisarza alias tutumfackiego.

Te reformy i przeistoczenia niezmiernie zajmowały Aleksandra po pierwsze: ponieważ czyniąc je poczuwał pierwszy raz całą słodycz władzy i panowania, powtóre: że działał w najgłębszym przekonaniu że czyni dobrze, bo w rozum Topolskiego ani w jego umiejętności nie wierzył. Co tam ten szlachciura mógł porządnego uczynić? mawiał. Naprawdę p.

Jerzy ostrzegał go że psuje folwark, który był świetnie urządzony, Aleksander uśmiechał się tylko i odpowiadał: zobaczy Papo! p. Jerzy wzruszał ramionami i mówił do swjej Anielki: mniejsza zresztą oto jak opatrzy się raz to potem będzie ostrożniejszy. Chwała Bogu, że przecie nabrał zamiłowania w gospodarce i ochoty do pracy.

Oprócz tego Aleksander postanowił zbudować nowy dom w Niemence. Miał to być dom co się zowie, drewniany wprawdzie ale dwu piętrowy, a nawet o jakiejś quasi pałacowej wieżyczce i o jakiejś oranżeryje mającej być przylepionej gdzieś tam z boku, Aleksander marzył, marzeń tych nie powierzał rodzicom, bo przeczuwał z tej strony silną protestację, ale powierzył je żonie i z tad wyniknęła pierwsza sprzeczka między młodem małżeństwem. Wincunia przełękała się myśli opuszczenia tego miłuchnego małego domku, w którym się zchodowała a zamieszkania w innym, obszernym, nowym, który jej wyobraźni od razu przedstawiał się dziwnie zimnym, pustym i smutnym. Tu każdy kącik był dla niej towarzyszem lat dziecińczych, każde miejsce było takie potulne i powabne wspomnieniem jakimś, pamiątką: tam trzeba będzie przywykać dopiero do wszystkiego, niby w inny świat się przenieść.

— Mój Olesiu, rzekła, na co nam ten nowy dom? w tym tak miło!

— Ależ to chata nie dom, moja duszko! odparł Aleksander. Wincuni ścisnęło się serce.

— A jednak, rzekła smutnie, tu przecie mieszkaliśmy z ciotką lat tyle, a dobrze i wygodnie nam było.

— Ty i ciotka co innego a ja co innego, odpowiedział Aleksander, wyście przywykli do małych mieszkań, a ja nie, bo rodzice moi zawsze w obszernych domach mieszkali. Przytem trzeba abyśmy mieli gdzie gości przyjmować!...

— Mój drogi, wtrąciła nieśmiało Wincunia, zdaje mi się że nie będziemy zawsze tyle gości przyjmować jak teraz...

— A toż dla czego? zawołał Aleksander.

— Bo może to będzie zbyt kosztowne dla naszego funduszu i przytem wyznam ci otwarcie, że mię to zaczyna fatygować. Aleksander spowsiował.

— Moja Wincuniu, rzekł porywczo, mówisz jak prawdziwa parafijanka i kobieta, która nie więcej nie widziała oprócz czterech ścian swego domu. Gdybyś tak odezwała się przy kim narobiłabyś mi wstydu. Powinnaś co do towarzyskiego życia zupełnie zdać się na mnie; bo więcej znam świat od ciebie, a teraz powiem ci tylko, że ludzie dobrego tonu i chcący wyrobić sobie piękne stanowisko towarzyskie, powinni mieć wiele stosunków i nigdy nie uskarżać się na zbytek gości.

Powiedziawszy to odszedł a Wincunia długo siedziała na miejscu zamysłona. Pierwszy raz od ślubu mówiła z mężem o jednej z praktyczniejszych stron życia i wnet zaszło między nimi nieporozumienie. Wyrzucała to sobie i na siebie składała całą winę. Nie mogła jednak obronić się od pewnego smutku i nie mogła także pojąć, aby dobry ton zasadał się, jak mówił Aleksander, na posiadaniu obszernego mieszkania i aby stanowisko towarzyskie zdobywać trzeba było przyjmowaniem mnóstwa gości. Myśl jej zaczęła pracować. Ależ, mówiła sobie w duchu, przecie kto przyjmuje więcej gości niż mu na to środki pozwalają, traci fundusz a jak go straci, toć trudniej potem będzie o jakiegokolwiek stanowisko towarzyskie.

I niewiadomo jakim procesem myślowym, przy końcu tych rozmyślań przypomniła sobie słowa Bolesława, które słyszała była od niego kilka razy, że niezłomna prawosc, prostota i wytrwała działalność na jakimkolwiek polu, musi prędzej czy później zyskać powszechny szacunek. Zdaje mi się, myślała dalej, że właśnie ten powszechny szacunek jest najpiękniejszym stanowiskiem towarzyskiem, a możnaż go zdobyć posiadaniem obszernego mieszkania i wydawaniem obiadów i wieczorów sąsiadom?

Po długim takim rozmyślaniu wstała z przekonaniem, że zdobyty takimi środkami szacunek publiczny musi być fałszywy i powierzehowny tylko, a zatem i stanowisko wyrobione tym sposobem nie trwałe jest i bynajmniej nie zaszczytne.

I pierwszy raz od ślubu pomyślała sobie: Oles myli się!

I pierwszy też raz od wielu miesięcy zaczęła przywozić sobie zdania Bolesława o stanowisku jakie człowiek powinien starać się zająć w świecie, i pomyślała sobie: on miał słusznosc!

Tego wieczora pierwszy raz od dnia ślubu była smutną, i tylko trzy razy przez cały wieczór pocałowała męża.

Odtąd nie było już wzmianki między małżonkami o budowaniu nowego domu, Aleksander jednak nie przestał o nim marzyć. Pozawierał nawet już w tym celu pewne umowy o materiał i robotników, nie wiedział tylko z kąd weźmie pieniędzy na znaczne koszty budowy.

Przyszedł wreszcie do przekonania, że trzeba będzie na to użyć przyszłorocznych dochodów Niemenki. Ale wnet przyszło mu na myśl, że w takim razie nie zostawi nic na przeżycie i załatwienie opłat rządowych. Długo łamał sobie głowę nad tą kwestją a w końcu rozwiązał ją słowami: ile zabraknie tyle dopózyczę.

Marząc więc o nowym domu, krzątał się zarazem około gospodarstwa z gorączkowym zapałem z jakim brał się zrazu do wszystkiego. I w istocie udało mu się porobić z wiosną dość piękne zasiewy, a p. Jerzy widząc to nie posiadał się z radości. Nawet niektórzy sąsiedzi dowodzili, że z tego młodego Snopińskiego bardzo tegi i porządny gospodarz.

Wincunia gospodarowała także, czytała i dnie bardzo prędko jej przechodziły. Niemniej jednak czuła ciągle że jej czegoś brakuje, ale nie umiała sobie zdać sprawy czego...

Harmonja ciągle panowała między nią a mężem, ale była to harmonja nie grająca, nie śpiewająca, nie mówiąca, ale tylko mileżąca albo śmiejąca się, tańcząca. Wincunia chciała niekiedy porozmawiać z mężem tak, jak to bywało niegdyś rozmawiała z pierwszym swym narzeczonym, o tych wszystkich pięknych a miłych rzeczach, do których wówczas już uśmiechało się jej serce: o poezji, ludziach, kraju rodzinnym, jego dziejach, świetnościach i niedolach.

Brata wtedy rękę męża i patrząc mu w oczy, zadawała jakie pytanie albo czyniła jakąś nad czemś uwagę, wtedy Aleksander jeżeli był w dobrym humorze wołał że śmiechem:

— Jakżeś ty dziś poważna—moja Wincuniu! i albo zamykał jej usta całusem, który łączył się ze śmiechem, albo porywał ją i wykręcał się z nią walca po pokoju. Ale jeśli był zmęczony albo trochę na co nadąsany mówił:

— No, daj że już temu wszystkiemu pokój! i odchodził! Parę razy nawet spostrzegła że ziewnął przy niej.

Mimo to wszystko, miewała jeszcze często chwile zachwyty i szczęścia w jakich nieprzerwanie spłyneło jej pierwsze półrocze. Nie czuła się tak zupełnie i bez chmurki szczęśliwą, jak wówczas, ale jeszcze było jej dobrze. Skrzydła jej uniesień osłabły już trochę i opuściły się nieco niżej ku ziemi, nie mniej jednak nie dotknęła jej jeszcze stopami.

Liczba pocałunków którą obdarzali siebie małżonkowie z sześćdziesięciu na godzinę, jaką była w pierwszym półroczu, zredukowała się w drugim do sześćdziesięciu na dzień a i z tych większa połowa dostawała się Aleksandrowi od Wincuni.

Przy tej uczcie miłości jaką sobie sami zaimprovizowali na przedce, ona była u środkowego dania on miał już tylko do spożycia wety.

Lubo nie zdawał sobie sprawy ze swych przeczuć, przeczuwał niekiedy bezwiednie, że tuż, tuż, nastąpi przesyty.

Wincunia dojrzała parę razy to przeczucie męża, na jego lekko znudzonej twarzy, ale zamykała oczy, aby nie widzieć, a potem otwierała je i patrzyła na niego najpiękniejszym jakie miała spojrzeniem, aby w jego oku wywołać znowu te ognie i promienie co ją do niego pociągnęły, a potem unosiły ją przez kilka miesięcy w niebo.

I jeszcze udawało się jej często wywoływać te ognie i promienie... ale biada kobiecie która już wywoływać je musi w oku ukochanego mężczyzny.

Zresztą, im dalej szedł czas tem mniej sama czuła chęci ich wywoływania.

Tak przeszło drugie półrocze.

Wstęp trzeciego, zaznaczył się w życiu małżonków trzema ważnymi dla nich wypadkami.

Pierwszym z nich była sprzeczka tak żywa, że po niej Aleksander dwa dni nie mówił do żony a dwa tygodnie ją nie pocałował ni razu: drugim wyjazd starych Snopińskich z Adampola w odległą stronę, trzecim urodzenie się dziecka córki, którą ochrzczono imieniem Anny.

W chronologicznym porządku sprzeczka zaszła najpierw, a powodem jej była — karetą.

Aleksander dowiedział się, że o kilka mil od Niemenki jakaś pani wyjeżdżająca na długo do miasta, za małą stosunkowo sumę sprzedawała dość nową i ładną karetę. Pojechał, nabył ją i sprowadził do domu. Kiedy Wincunia pierwszy raz zobaczyła kosztowny powóz i dowiedziała się że mąż go nabył, klasnęła w ręce ze zdziwieniem i zawołała:

— Mój Boże! a toż na co?

— Będziesz jeździła karetą! odpowiedział Aleksander z tryumfem.

Wincunia zarumieniła się, popatrzyła na powóz i rzekła stanowczo:

— Nie mój Olesiu, ja karetą za nic nigdzie nie pojedę!

— A toż czemu? zawołał mąż.

— Bo czuję że jeżdżąc nią byłabym śmieszna.

Aleksander nie mógł ochłonąć ze zdziwienia.

— Nie pojmuję ciebie moja droga, rzekł z gniewem.

Wincunia odpowiedziała:

— Bogate panie jeżdżą karetą i to im bardzo przystoi, ale gdy my zaczniemy nią jeździć, wszyscy powiedzą że nadymamy się, żyjemy nad stan i będą z nas śmiać się.

— Moja Wincuniu, widzę że jesteś prawdziwą gąską. Nigdy nie spodziewałem się abys taką była.

— Przykro mi bardzo, mój Olesiu, że muszę ci sprawić przykrość, ale za nic w świecie nie wsiądę do tej karety, przebac mi to...

Chciała wzięść męża za rękę aby przeprosić go i wypowiedzieć mu całe swoje zdanie, kto powinien a kto nie powinien używać kosztownych powozów, ale on odwrócił się od niej zagniewany i odszedł nie powiedziawszy więcej ni słowa.

Wincunia rozplakała się a otarłszy łzy rozmyślała czy nie należało dla dogodzenia Olesiovi, zgodzić się już narazie na jeżdżenie tą nieszczęśliwą karetą, ale jakoś zbuntowała się na dobre jej wola i rozum za nic ustąpić nie chciał. Rzekła do siebie: Oles na myśli się i sam zrozumie, że byłaby to niedorzeczność! Jej już i ten kocz którym od ślubu jeździć zaczęła dziwnym wydawał się zrazu i ledwie do niego przywykła, ale wtedy, w owem pierwszym półroczu, ona sama nie wiedziała jak, czem i gdzie jedzie, byleby on był przy niej; teraz co innego, za nic nie mogła pogodzić się z myślą uczynienia tego co uważała za śmieszne a nawet mogące zgubne skutki prowadzić za sobą. Powtórzyła więc nazajutrz mężowi, że może sobie karetę oddać komu lub sprzedać, bo ona za nic nie odważy się wsiąść do niej, i znowu chciała go przeprosić za sprzeciwienie się jego woli, ale on gniewnie usunął ją od siebie i dwa dni nie przemawiał do niej i nie odpowiadał gdy co do niego mówiła.

Dwa dni Wincunia płakała ciągle...

Była więc chmura na ich niebie, ale w krótkie pierchnęła rozwiana zjawieniem się małego aniołka. Po urodzinach które o mało nie pozbawiły życia Wincunię, Aleksander milionem pocałunków okrywał jej ręce, zdawało się, że wróciła mu cała czułość dla żony. Potem nastąpiły bardzo huczne chrzciny, tem huczniejsze, że były zarazem fetą pożegnálną wyprawianą dla państwa Snopińskich, którzy opuszczali Adampol.

Opuszczali oni Adampol z żalem — bo i oddalali się od dzieci i przenoszenie się z gospodarstwa było ciężkie ale inaczej uczynić nie mogli. Dzierżawa Adampola była bardzo korzystną, ktoś pozazdrościł jej p. Jerzemu, narobiono intryg, napisano do Hrabiny w najgorszym świetle przedstawiając gospodarstwo Snopińskiego, przekupiono jej pełnomocnika i koniec końców kontrakt został zerwany a p. Jerzy ze zdwojonym frasunkiem w oczach i ze skargą na ciężką dolę dzierżawcy, przeniósł się na possessję o trzydzieści mil odległą od dotychczasowego miejsca pobytu. Wyjeżdżając jednak był już trochę pocieszony, bo nowa dzierżawa zdawała mu się jeszcze korzystniejszą od Adampolskiej, a dzieci przyrzekły często pisywać i co rok odwiedzać rodziców. Pani Anna żegnając się z synem zachodziła się od płaczu, a pan Jerzy zalecał mu po kilkadziesiąt razy, aby pilnował żony i domu a rządnie i pracowicie gospodarzył.

Aleksander zmartwił się bardzo zrazu odjazdem rodziców, ale zarazem nie mógł ochronić się od pewnego wewnętrznego zadowolenia. Uwolniony z pod ojcowskiego oka, uczuł się bardziej swobodnym, niby zupełnie już panem siebie i swego postępowania.

I zaczęło się dla młodych małżonków trzecie półrocze wspólnego pożycia, a z niem razem zaczęła się całkiem nowa era w życiu Wincuni.

Z długiej i ciężkiej choroby powstała bardzo zmieniona fizycznie i moralnie. Kibic jej wyszczupiała, ruchy stały się powolniejsze i nacechowane pewną słabością fizyczną, rumieńce znikły z twarzy a cera jej nabrała delikatnej, przezroczystej bledkości. Ale bardziej jeszcze niż postać i cera zmienił się wyraz jej twarzy. Czoło jej zdawało się promienić wyższą niż ją kiedy dotąd miała myślą: oczy utraciły dawny ogniisty blask, a zamglily się wilgotnym polyskiem, przez które coraz częściej przegładało zamyslenie. Ciało jej przetworzyło się pod dotknięciem ciężkich fizycznych cierpień, poczucie macierzyństwa i myśl o niem podniosła jej ducha i szybkimi krokami prowadziła go do dojrzałości. Wszystko co było szlachetne w jej sercu i światłem w umyśle, i co uszione drzemało dotąd, ocknęło się w niej na widok dziecięcia, którego była matką, na myśl że mały aniołek ten złożony był w jej objęciu na to, aby w nie teńnęła cnotę, miłość i rozum.

Teraz dopiero grunt serca jej i umysłu uprawiony przez Bolesława zaczął wydawać owoce. Z dobrej i żywej jak iskra dziewczyny, z latającej na skrzydłach uniesień młodej małżonki, powstała poważna i czuła matka. Macierzyństwo stało się dla niej wysokim piedestałem, na którym stanawszy poczęła szerzej rozglądać się po świecie i rozmyślać.

Takie silne i wzmacniające wpływy, macierzyństwo często wywiera na kobiety: mężczyźni rzadziej ulegają im z powodu ojcostwa, chyba wprzódy gotowali się do niego z wielką czułością serca i z głębokim skupieniem ducha. Aleksander nie gotował się bynajmniej w ten sposób do ojcostwa, nie było ono weale ulubionem jego marzeniem i pragnieniem, to też i nie zmieniło go ani trochę.

Oprócz w półdziecinnej chwilowej radości, nie doświadczył on żadnego uczucia na widok nowo narodzonej córki; były chwile w których z trudnością mógł wyobrazić sobie i uwierzyć w to że już był ojcem. On! taki młody! tak swobodny przed rokiem, już ojcem! Obawa jakaś przejmowała go na tę myśl — trochę gniewu, a bardzo rzadko radość. Stanowczo zaś niemile wrażenie uczyniły na nim powinszowania sąsiadów, do których dołączały się upewnienia, że teraz śmiało może liczyć się do grona poważnych ludzi, jako ojciec dziecka, a przypuszczalnie w krótkie ojciec dzieci. Słowa te przywodziły mu na myśl o nowych zaciągniętych obowiązkach, ciężarach, o stanowczem utraceniu złotej swobody, a pewnego dnia gdy bardzo długo nad tem myślał, pochwyił się za głowę i krzyknął: gwałtu!

Zmiany jakie zaszły w Wincuni od czasu gdy została matką, nie podobały mu się też stanowczo. Ciągłe zajęta dzieckiem, trochę osłabiona jeszcze, często zamyślona, przestała całkiem być ową wesołą, ciągle śmiejącą się i skora do tańca towarzyszką, jaką była mu w pierwszych miesiącach po ślubie.

Im więcej zaś ona poważniała, tem więcej on pragnął tej dawniej pustej dziecinnej wesołości.

Przymuszała się do niej niekiedy, ale przymus był widoczny i dziecinne zabawy nie szły dobrze.

Im bardziej ona stawała się przywiązaną do domu, codziennych zajęć i cichego życia, tem bardziej on pragnął rozmaitości, towarzystwa, wrażeń. Im żywiej i częściej pragnęła tych poufanych, serdecznych rozmów za którymi i wprzódy już tęsknić zaczynała, tem mniej on czuł się do nich usposobiony.

Ona zwinęła skrzydła, którymi dotąd wlatywała nad ziemią, aby w uroczystem spokoju stać nieprzerwanie nad kolebką dziecięcia i przy ognisku domowym, on teraz dopiero rozwinął je całkiem i stał się motylem rwącym się w przestrzenie, w pogoń za błędnymi ognikami ulatującymi z łona wrzawy światowej.

Głęboki rozdwoj duchowy stanął pomiędzy małżonkami, poczuli że ich coś dzieli, ale nie mogli jeszcze zrozumieć co by to było?

Coraz mniej przestawali ze sobą, coraz rzadsze i słabsze ognie pojawiały się w oczach Aleksandra gdy patrzył na Wincunię, coraz mniej ona doznawała szczęścia widząc je. Liczba ich pocałunków z sześćdziesięciu dziennie, jaką była w drugim półroczu zredukowała się do trzech. Spadł nagły ale zupełnie usprawiedliwiony w naturze podobnych stosunków, gdy miłość i szczęście małżonków wznosić się nagle zbyt wysoko zaczyna, i zniża się później w pierwszym roku pożycia, to potem opada z szybkością matematycznego kwadratu i bardzo już prędko osiąga poziom wzajemnego zubożenia.

Na tym poziomie nieszczęście rozkłada się smęt-
nym rozłogiem porośłym chwastem zgrzyot i żalu...

Między temi chwastami coraz bardziej plątały się
stopy młodych małżonków, ale dla Winuni wzra-
stał wśród nich precudny kwiat macierzyńskiej miłości
i przykuwał do siebie jej oczy tak, że jeszcze niezu-
pełnie dobrze widziała, co działo się i powstawało ko-
ło niej. Aleksander nudził się i trudził pochodem
po jednostajnej równinie ciszy i zajęć domowych, co-
raz mocniej poczuwał żal za utraconą swobodą i co-
raz częściej opuszczał dom, szukając nową karmy
dla rozigranego, nieudolnego do skupienia się i stale-
go działania ducha.

Jak mówiła Szłomowa Topolskiemu, w rok po ślu-
bie zaczął znowu zaglądać na salę — i odnowił sto-
sunek swój z panią Karlicz.

To ostatnie możeby samo przez się nie przyszło,
ale dopomogła temu sama powabna pani. Pewnej
niedzieli wychodząc z kościoła ze znużoną twarzą
i kapryśnym niezadowolaniem w wyrazie ust, spo-
strzegła na cmentarzu Aleksandra, który ukłonił się
jej zdaleka. Skinęła na niego aby się zbliżył do
niej i rzekła z uśmiechem:

— Widzę, panie Snopiński, że przysłowie nie kła-
mie mówiąc: kto się ożeni ten się odmieni! Od cza-
su jak ożeniłeś się pan, ani razu nie byłeś w Piase-
cznej. Czy zrobiłeś pan wotum zostania pustelni-
kiem? Czy żona pańska zazdrośna, czy też — przesta-
liśmy być z panem dobrimi przyjaciółmi?

Ostatni frazes był powiedziany po francuzku może
dla tego, aby go otaczająca szlachta najmniej mogła
zrozumieć.

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie, odpowiedział
Aleksander, kłaniając się z galanterją, a po prostu
zajęcie... brak czasu, pozabawiły mnie największej przy-
jemności...

— Bez wymówek i bez komplementów, z miłym
uśmiechem rzekła pani, ot lepiej przyjeźdź pan dziś
do nas, będziemy miały *reunion* i zabawimy się wy-
bornie, nieprawdaż?

Z ostatnim wyrazem zwróciła się do swych nie
odstępnych dwóch strojnych pańien, kompanionki
potwierdziły nadzieję miłej zabawy i zapraszały Alek-
sandra, na którego twarzy malowało się wyraźnie
głębokie zadowolenie miłości własnej.

— Będę dziś służył paniom, powiedział w końcu
gdy pani Karlicz podawała mu rękę ustrojoną w ró-
żaniec z agatowych paciorek.

I pojechał do Piasecznej, a potem zaczął co raz
częściej tam jeździć, a że droga prowadziła przez
miasteczko tuż koło oberży Szłomy, każdym razem
zaglądał na salę, a gdy przegrał kilka partij w Bil-
lard albo został częstowany przez towarzyszy, czuł się
w obowiązku jechać tam znowu w krótko,
aby odegrać się lub odwzajemnić traktamentem.

Nie kiedy po parę dni w domu nie bywał; wróci-
wszy z tych długich wycieczek, czasem stawał się bar-
dzo czułym i serdecznym dla Winuni, ale czasem
też wpadał w najgorszy humor, szorstko przemawiał
do niej i prędko znowu dom opuszczał.

(d. c. n.)

Kronika teatralna. (1)

Ogólne uwagi o repertuarzu. Pierwszy występ p. Sta-
niława Wardzyńskiego.

Pora teatralna otwiera się w najlepsze, i teatr ko-
rzysta z tej pory. Nigdy jeszcze, a przynajmniej od

(1) Rozpoczynając z numerem dzisiejszym kronikę teat-
ralną, prowadzić ją odtąd będziemy stale, niezaniebując
tak rozbioru krytycznego sztuk nowo przedstawionych jak
i przeglądu gry artystów o ile dostarczą do tego odpo-
wiedniego materiału. Instytucja ta obecnie nader tro-
skliwą otoczona opieką, uniożona niegdy sługa fars tłumac-
zonych, którym nie skąpiła nigdy scenicznych wystą-
pień, dziś za nadto krząta się około zasilania repertuaru
nowościami pierwszorzędnej wartości zarówno oryginalne-
mi jak tłumaczonymi, aby prasa periodyczna baczniej-
szę na nią nie zwróciła uwagi. Nowy ten oddział traktowa-
ny dotąd w Tygodniku pobieżnie, sądzimy że chętnie
przez Czytelniczki przyjęły zostanie, zwłaszcza że pro-
wadzony będzie jedynie z pamięcią na dobro sztuki,
a z odsunięciem wszelkich względów zarówno dla auto-
rów, tłumaczy jak artystek i artystów na scenie wystę-
pujących.

Red.

lat trzydziestu, nie doświadczył on takiej staranności,
nie był przedmiotem tak gorliwych zajęć, — tę spra-
wiedliwość oddać musimy dzisiejszemu nad nim prze-
wodnictwu. Sądząc rzecz atoli ze stanowiska dzi-
siejszych widocznych ulepszeń, patrząc na teatr nie
już jako na instytucję martwą i zaniedbaną, jaką
mniej więcej była dotąd, ale jako na ognisko postępo-
we, musimy zaznaczyć jedną okoliczność wymagającą
zwrócenia uwagi tych, co się tak chwalebnie około
tego postępu krzątają. Otóż, o ile staranność zwró-
coną jest ku zasileniu sceny nowymi zdolnościami, ku
ożywieniu składu osobistego; o tyle ona niedość jesz-
cze energicznie wgląda w repertuarze. Nie powiada-
my aby zupełnie repertuarza zaniedbano, mówimy
tylko że dbałość oń nie równoważy się dotąd z dba-
łością o skład osobisty; i tłumaczymy to sobie tem
tylko, że trudno od razu wszystko zreformować, że
tędy urządzenie regularniejszego i bardziej jeszcze
ożywionego repertuarza jest tylko kwestją czasu.

Jakoż od czasu nowego zarządu nowych sztuk
posypało się dosyć. Zadałoby one już są od chwili
gdy to piszemy, ażeby wydać zdanie o ich wyborze
i nie chodzi nam wreszcie tu o ich szczegółową kry-
tykę. Pomimo jednak tego przybytku, afisz, mia-
nowicie teatru Rozmaitości rzadko bywa pociągają-
cym, rzadko zdarza się aby częstszy bywał teatral-
ny, nie spotkał się na afiszu z rzeczami bardzo już
znajomymi. Chcecież więc, zapyta kto, aby teatr
po kilku przedstawieniach wyrzucił bezpowrotnie
odegrane sztuki? Bynajmniej. Wprawdzie sztuki
złe nie powinny być wcale przyjmowane, a jeżeli się
przeszliżną, to tak dobry smak, jako i wzgląd na in-
teres, powinny skazać je na wieczną bannicję. O złych
więc sztukach nie mówimy wcale, ale o dobrych. Te
dobre sztuki powinny się ciągle utrzymywać w re-
pertuarze, odświeżając się nowymi nabytkami, tylko
zdaje mi się, może być więcej ładu w rozkładzie; kró-
tko mówiąc powinna temu, tak jak wszystkiemu na
świecie przewodniczyć pewna metoda. Czy jest jaka
w układzie programów, wątpliwe. Ażeby zaś być mo-
gła potrzebaby mniej więcej wykonać następujące
reguły co do sztuki w stały repertuarz wprowadzo-
nych. Przedewszystkiem należałoby z gruntu prze-
rzeć cały zasób materiału scenicznego, przynajmniej
od pewnej epoki, wybrać zeń rzeczy odpowiednie, od-
rzuciwszy niezdatne, spisać to co się przeznacza na
użytek stały i urządzić stosowną kolej przedstawień.
Tym sposobem, po przedstawieniu kilka czy kilkana-
ście razy, sztuka słaby na roczny lub kilkoletni spo-
czynek, następowałaby inna, i taką koleją przy po-
mocy najświetszych produkcji, repertuarz ciągleby
się odnawiał, i możnaby rzec iż nie byłoby zgoła
sztuk, jak to mówią, oklepanych; zawsze afisz mniej
więcej przedstawiałby nowości i urozmaicenie (ściaga-
my to głównie do teatru Rozmaitości). Tymczasem
przy braku metody stalej widzimy zupełnie co innego,
i wypadki, jak zwykle, są bardzo rozmaite. Nowe
sztuki czasami powtarzają się wciąż, bez przerwy, aż
do znużenia, a potem znikają gdzieś w otchłani za-
pomnienia, nie dlatego iżby je wyrugowywały inne,
ale wprost tak, bez zdania racji. To znowu sztuki
nadzwyczaj ograne, jak Fredry, trzymają się przy-
lepione i powtarzają tak zawzięcie, że nareszcie pu-
bliczność pomimo całego talentu z jakim są i napisane
i wykonane, przesyca się nimi i odwraca od afisza.
To znow z równem znużeniem spoglądamy na od-
wieczne farsy, jak *Indjana*, na lichoty, jak *Przed*
Sniadaniem, *O chlebie i wodzie*, i t. p., które jak
gdyby prawo nieprzerwalności zyskały w naszym
teatrze, — kiedy rzeczy i lepsze i weselsze i mniej
wyszarpane mogłyby je zastąpić. Rozumiemy, że
farsa nawet, dla pewnej części publiczności a więc
i dla interesów materialnych teatru, nie może być
wyłączoną ze sceny, ale i w tem należy zachować
i wybór i rozmaitość. Tymczasem ani jednego ani
drugiego, sumiennie rzekłszy, nie widzimy. I cóż te-
dy dziwnego, że w teatrze Rozmaitości częste bywają
pustki? Ilekroć na przykład pojawia się sztuka no-
wa jednoaktowa, to dwie pozostałe zwykle dodają
się takie, które już bywalec na pamięć umieją. Nie
jeden też powiada: co mam płacić cały bilet za trze-
cią część przedstawienia i nudzić się słuchając oklepa-
nek? Po takiej reflexji chowa pieniądze do kieszeni
i czeka na lepszą okazję. Gdyby zaś obok sztuki
nowej dano dwie dawne ale dawno niegrane, cały
program byłby i świeży i interesujący, tem samem
nierównie i dla publiki i dla kasy przyjemniejszy.
Ale dopóki układem programu rządzić będzie do-
rywczosć i przypadkowość, dopóty w nim panować
będzie oschłość i stagnacja, — i interesów material-

nych nie zbawią nawet nowe sztuki i nowe indywidualia.

Prawda że wiosną teatr Rozmaitości był uczesz-
czanym, ale ileż to trzeba było wysilen! Razem zje-
dnoczyły się dwie nowości: i nowy artysta (Rapaeki)
i nowe sztuki. Takie chwilowe powodzenie nie sta-
nowi zasady, jest to efemeryda. Powodzenie oprócz
trzeba na czemś stalszem, na takim mianowicie
urządzeniu, ażeby bez żadnej gorączkowości, pro-
gram mógł być ciągle świeżym, przez odnawianie go
stosowną koleją. Gdzie się np. podziały sztuki Ko-
rzeniowskiego? Toż większej ich części nie zna całe
jedno pokolenie. Na afiszu spotykamy tylko *Żydów*
i *Majstra*; gdzież reszta! Skazanaż ona na wieczne
zatrącenie? Gdzie tyle innych sztuk, których tytuła-
mi nie chcemy tu zajmować papieru, a które mają
i literacką wartość i bardzo wdzięcznie były przez
publiczność przyjmowane? Gdzie tyle wdzięcznych
reczy Skryba, gdzie oryginały i przekłady artystycz-
ne naszych społecznych literatów, z których jedno
tylko nazwisko najczęściej na afiszu figuruje? Po-
minawszy wszystko, takie zaniedbywanie prac tu-
tejszych literatów, może być bardzo zniechęcające;
a choć dziś i pod tym względem ulepszenie jest zna-
czne, ogranicza się ono do tego, że pracownik miej-
scowy łatwiejszy znajduje dostęp i lepsze wynagro-
dzenie. Jest to już bardzo wiele, i powinno być
przez literatów uznane; ale uznanie to byłoby zupeł-
niejszem, gdyby sztuki dostarczone, a mające po-
wodzenie, po przegraniu kilkukrotnem nie były bez-
powrotnie usuwane, lecz miały prawo stałego obywa-
telstwa na scenie, na co potrzeba tylko pewnej sy-
stematyczności, która z pewnością do wszechtrono-
nego zadowolenia doprowadzić może.

Zupełnie inaczej dzieje się z urozmaiceniem składu
osobistego: od roku usiłowania zarządu nie mają za-
dnego przykładu w przeszłości. Wprowadzenie p. Mo-
drzejewskiej stanowi erę na scenie tutejszej, a że
umowa z Rapaekim nie doszła do skutku, niema
w tem żadnej winy Zarządu, który pole występów
szeroko otworzył dla nowych zdolności. Temu to
kierunkowi zawdzięcza i p. *Stanisław Wardzyński*,
łatwe i prędkie ukazanie się na scenie. Uczeń Kró-
likowskiego, zaledwie za dojrzałego do publicznego
występu uznanym został przez mistrza, zaledwie
objawił chęć sprobowania sił na szerokiej arenie, —
otrzymał wszelkie ułatwienia, i w kilka tygodni,
w dniu 9 b. m. wystąpił w roli *Karola* w *Zbójcach*:

Wielka to odpowiedzialność wynurzać zdanie o pier-
wszych owocach pracy artysty a szczególnie *dra-*
matycznego. Poeta, malarz, czy rzeźbiarz, wystawi-
wszy dzieło swe przed trybunał publiczności, mogą
z całym spokojem przysłuchiwać się wrażeniom i są-
dom: pod względem czasu, dzieło ich już jest poza
niemi. Artysta dramatyczny przeciwnie, dzieło swe
tworzy w oczach publiki, pod krzyżowym ogniem spoj-
rzeń tej kapryśnej królowej, która nic sobie nie robi
z bicia serca, z drżenia rąk twórcy, które mogą psuć
dzieło obmyślane w spokoju domowym z całą przy-
tomnością myśli. Publika też winna przyjąć w ra-
chunek swych sądów ten niezwykle stan duszy pier-
wszy raz występującego, i pobbżanie winno iść na
czele jej argumentów krytycznych. Jakoż, występ
p. Wardzyńskiego był niczem więcej tylko wydaniem
lekcji przez ucznia na publicznym egzaminie. Wi-
dzielśmy w grze jego pewne odbicie się gry mistrza,
jego zasad i wskazówek, szkołę jak najwyborniejszą,
przez którą indywidualność artysty jeszcze się wido-
mie przebić nie zdołała. Jako jedyną własność swęj
duszy p. Wardzyński okazał nam jedynie zapał, nie-
tylko młodzieńczego wieku, ale zapał kunsztu. Zapał
jest elementem, który zawodzi rzadko, raz na sto; mo-
żemy go więc wzięść za dobrą wróżbę. Dwa są nar-
zędzia, któremi wojuje artysta dramatyczny na polu
sztuki: akcja i głos. Pod względem akcji, powiedzie-
liśmy już, że ta w młodym debiutancie jest dopiero
assymilacją wielkiego wzoru; głos zaś p. Wardzyń-
ski posiada istnie niepospolity, dalekim tylko jest od
umiejętnego nad nim panowania. Wszak sam głos
choć piękny i silny, nie stanowi jeszcze śpiewania,
choć jest jego nieodzownym warunkiem. To też
i w dramacie, lubo w odmienny sposób, głos po-
trzebuje kształcenia i ujęcia w kunsztowną, metodycz-
ną miarę. Rola *Karola* w *Zbójcach* pełną jest dzi-
wnych perypetji, w których przeważnie panuje wzbu-
rzenie i gwałtowność. Otóż ilekroć należało uczucia
te uwydatnić, słyszeliśmy hałas, krzyk, łoskot, słowem
wrzawę, ale tylko cielesną, pod którą ton bo-
leści duchowej zagłuchł i zmleczł, uwiązał w gardło
ściśniętem kontorsją fizyczną. Stosowna modulacja
głosu jest jednym z najważniejszych zadań: w gło-

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

w Warszawie

P. Dukrzyńska — p. p. Mielnicki, Murzynowski, Miller
Leffrer, Kostrzewski.

sie, to tak jak w instrumencie, w miarę myśli textu, powinien być harmonijny passaż oparty czy to na gammie, czy na odpowiednich do myśli interwałach; dłuższe tyrady są odpowiedniemi do takiego popisu polem. Otóż tu najwięcej chybiał głos p. Wardzyńskiego: nie było tamtych modulacyjnych przejść, tony ciche mieszały się z okrzykami bez żadnych usprawiedliwionych motywów, tak jak w źle wypowiedzianem kazaniu; prędkie i raptownie wypowiedziane frazesy ulatywały często mimo uszu lub trąciły pospolicieścią. Siła głosu jest wielką zaletą, ale tylko fizyczną jeżeli jest surowa.

PP. Grzywiński i Stolpe, towarzysze p. Wardzyńskiego w roli zbrojców, przemawiali grzmiąco i gwałtownie, a z tem wszystkim byli naturalni, p. Grzywiński szczególnie porywał sympatycznością swych wybuchów. Młody debiutant nie zdolny jeszcze, narówni z wytrawnymi towarzyszami zażywać tego niepospolitego daru, pomimo nierównie wdzięczniejszej roli, wciąż wpadał w nienaturalność i przesadę, męcząc i siebie i słuchacza, tak wysileniem głosu, jakoteż częstym powtarzaniem jednego giestu głową, która przy silniejszych zwrotach mowy zadarta zbyt mocno do góry, w sposób wcale nieestetyczny pociągała za sobą dolną część brody, wystawiając ją na przód!

Czyż te nasze surowe słowa miałyby zasmucić i odstręczyć młodego adepta sztuki? Bynajmniej. Zdaje się nam, że mu i w myśli nie powstało to, że on tak od pierwszego rzutu stanie na jej szczycie a rola Karola, którą sobie może mniej szczęśliwie, jak na pierwszy występ wybrał, jest jedną z szczytowych punktów. P. Wardzyński sam pewnie dostrzedz musiał, że największe z jego gry wrażenie sprawiła scena pożegnania z Amalją, w której przy cichszych, tajonych uczuciach, dusza przemawiała więcej niż głos. Ta jedna scena dowiodła że p. Wardzyński posiada wysoko artystyczną duszę, reszta wszystko co mu dotąd nie dostaje jest do nabycia, a młody adept ma jeszcze bardzo wiele czasu do czynienia nabytków.

Jesteśmy mocno przekonani że p. Wardzyński będzie artystą: wszystko za tem przemawia. Pod względem fizycznym powierzchowność ujmująca i najzupełniej odpowiadająca scenie, głos zdolny się wyrobić na prawdziwy organ sztuki; pod względem moralnym znakomity zapas zapadu, dobre pojęcie ducha rzeczy i uczucie. Pozostaje tylko praca nad umiejętnym zastosowaniem tego wszystkiego w jedność, co dla p. Wardzyńskiego jest tylko rzeczą czasu i zastanowienia. Winniśmy na tem miejscu wypowiedzieć słowo uznaniu p. Królikowskiemu, który, jako prawdziwy kapłan sztuki, otoczył staraniem młodego aspiranta i pierwszemi krokami jego kierował, w myśli iżby scena krajowa miała z niego pociechę; ale z drugiej strony radzimy i p. Wardzyńskiemu, ażeby szanując drogocenne wskazówki takiego mistrza, rozwijał samodzielność własną, bez której nie ma artysty, bez której sztuka wpada w konwencjonalizm.

Jeżeli p. Wardzyński pójdzie tą drogą samodzielności i umiejętnego kształcenia darów od natury zyskanych, stanie się on znakomitym dla sceny naszej nabytkiem, jako bohaterski kochanek. Scena nasza jest jedną z pierwszorzędných, i jakkolwiek posiada uzdolnionych artystów do ról kochanków, ci jednak mają już właściwie sobie zakreśły i ażeby nie zejść na rutynistów, nie mogą i nie powinni rozpraszać studjów swoich na wszystkie kierunki, tak jak jacy prowincjonalni aktorowie, co przedsiębiorając dziesięć rozmaitych charakterów, stają się nareszcie konnałistami. Bohaterskiego kochanka właściwie brak jest u nas, to też pewnie i zarząd teatralny nie ośmięska spożytkować takie zdolności jakich próbę złożył p. Wardzyński na sobotniem przedstawieniu.

Przedstawienie to odznaczyło się drugą jeszcze nowością, to jest wystąpieniem p. Chęcińskiego w roli hr. Moora, po p. Rychterze. Jakkolwiek ubytek tego ostatniego artysty jest dla nas stratą bolesną i w wielu razach niczem niezastąpioną, jednakże co do tej mianowicie roli p. Chęciński nie dał nam tak żywo uczuć braku swego utalentowanego kolegi. Praca nie zastąpi talentu, to rzecz wiadoma; ależ p. Chęciński nie musi być aktorem bez talentu, jeśli trudną rolę nieszczęśliwego ojca oddał tak, iż wrażenie gry jego wywoływało w sercach słuchaczy sympatję i grozę.

X.

P. Dukrzyńska o której już w naszych sprawozdaniach mówiliśmy, przedstawia się obecnie z nową pracą pastelowa, wyobrażającą dziewczynę z koszykiem jako studjum z natury. Słyszeliśmy zarzuty, że dziewczyna za piękna, za delikatna i za poetyczna, a przynajmniej rodzajem urody zaprzeczająca służebnym swym obowiązkom. Przewidując je utalentowana artystka dołożyła objaśnienie, że to studjum z natury, a choć może w odtworzeniu wzoru, zboczenie od przepisów estetycznych, zostało złagodzone a może i usunięte, nie to nie ujmuje wartości pracy p. Dukrzyńskiej. Nie pierwsza ona używa tych niewinnych sposobów, podobania się i publiczności i orginalowi. Myśl w obrazie bardzo skromna; dziewczyna zdaje się wiejska cokolwiek przekształcona na Warszawiankę, odwzorowana w dwóch trzecich swęj wysokości, stoi z koszykiem zawieszonym na ręku i twarzą wprost niemal ku widzom zwróconą. Włosy gładko uczesane stanowią całą ozdobę głowy, koszula biała zwyczajem wiejskim aż po szyję zapięta, jedynie osłania kibić ładnego dziewczęcia; w koszyku zwyczajnym przez kucharki używanym pełno mieści się warzywa, a ręka, która go dźwiga obnażona po łokieć, pomimo buzi wdziękiem niezwykłym odzianę, znać że z pracą zbratana, że zna co żar letni a mróz trzaskający zimy. Piękny ten obraz zakupiono do rozlosowania pomiędzy członków; cieszymy się z tego wielce zwłaszcza, że komitet tak w wyborze do reprodukcji jak i rozlosowania nie zaleca się zbyt wytwornym gustem. Przedewszystkiem zachodzi tu pytanie, czy na ten cel powinny być przeznaczane obrazy mało komu podobające się, a więc chybione w pomysle lub w wykonaniu; czy też lepsze z pomiędzy innych a jak do reprodukcji nawet najlepsze? Komitet widocznie pierwszego rodzaju pracom oddaje pierwszeństwo, co zdaje się chybiać przeznaczeniu Towarzystwa.

Pan Mielnicki nader rzadko oddający swe prace na Wystawę, wystąpił z trzema portretami ktore jako osób w części nam znanych, łatwiej mogą być ocenione. Nie ma w nich gonienia za efektem, brak może wypieszczenia i wiotkości w niektórych szczegółach, ale znać wszędzie sumiennosc, staranność w wykończeniu, a przedewszystkiem uderzające podobieństwo, główny przymiot portretowego malarstwa, co osobę malowaną nie przypomina ale stawia niemal żywą przed oczami. Niemała to zasługa i dowód niepospolitego talentu; wiernem odwzorowaniem głównie zaprzęgnięty p. Mielnicki, zda się mniej dbać o resztę, i lekceważyć to co drudzy w podobnych pracach zbyt może podnoszą. Dla tego portrety pana Mielnickiego może nie wywołają szczególnego zachwycenia ale z pewnością spodobać się każdemu, zwłaszcza osobom portretowym jeżeli w nich zamiłowanie prawdy przeważa chęć efektownej pozy, co zda się wołać na przechodnia; patrz na mnie! O rysunku i kolorycie nie tu nie wspominamy, artysta tak zdolny i sumienny jak p. Mielnicki, nie może władać jak należy i farbą i ołówkiem. Sądźmy tylko że użycie jasnych kolorów na suknie osób co wyszły z wiosennych lat życia nie jest właściwem. Biała, różowa lub niebieska sukienka dla młodzieńczej panienczki przypominającej pączek róży, odpowiada wyborne; wdzięk młodości wyjaśnia, niewinność duszy uwydatnia; u starszych osób choćby urodą liczących się do kwiatów w pełnym rozkwicie, zupełnie przeciwnie oddziaływa. Pana Murzynowskiego portret odrobiony z wielką starannością przedstawia młodą damę pełną życia i urody. Słyszeliśmy zachwycających się perłami zawieszonymi na szyi portretowanej osoby, a pomijających to, co na rzeczywistość pochwałę zasługuje. Co prawda perły są pełne naturalności ale nie jedyny to szczegół godny większej uwagi. Pan Murzynowski odwzorował je ze szczególnem upodobaniem, nie zapomniał jednak i o innych dodatkach, a na głównem baczniu miał samą osobę stanowiącą właściwy cel jego pracy.

Pan Miller dał portret dziecka zapewne czteroletniego. Trudne to niezmiernie zadanie. Rysy dziecka zwykle mało wydatne, zacierane pulchnością buzi właściwą temu wiekowi, stanowią tak delikatne odcienie, tak nieznacznie uwydatniają się, że uchwylenie ich wiernie stanowi wielką zasługę dla artysty. O ile z tego wywiązał się p. Miller, nieznając żyjącego oryginału trudno ocenić. Sądząc tylko z naiwności rozlanęj na dziecęcęj buzi, z uśmiechu ją ożywiającego przypuścić można wielkie podobieństwo.

Drugi obraz tego artysty p. t. karnawał w Rzymie ma wiele zalet, ale w kompozycji nie widać wrzawy, zgiełku i tęg wesołości tłumnej, jakie przedstawiać zwykliśmy sobie w wyobraźni, o tęg ucieście ludu rzymskiego. Artysta zamało użył do tego osób, zawiele zostawił próżnego miejsca, aby charakter ten mógł się dobitnie odwzorować. Być może że scena wzięta z natury, że gdzieś tam na jakiejś bocznej ulicy Rzymu, chwila ta wesołości tak a nieinaczej się przedstawiała, ale to nie usprawiedliwia zarzutu. Kompozycja koniecznie powinna odpowiadać tytułowi, z obrazku zaś p. Millera nikt nie poźwemnie właściwego wyobrażenia tego, co zamierzył przedstawić.

Jakkolwiek obrazek p. Leopolda Leffrera, dawno już znikł z Wystawy, nie mogą go jednak pominąć tyle w nim prawdy i życia się mieści. Scena w nim bardzo zwyczajna, napatrzeć się jej może każdy co ma synów wyrostków przekładających grę w piłkę nad nudne ślęczenie nad książką. Taką chwilę boleści wybrał artysta za przedmiot swojej pracy i oddał ją z takim humorem, że obrazek ten do wybornych śmiało policzony być może.

Przy stole pod otwartem oknem na podwórzu, siedzi już kobieta w wieku, zapewne babka głównego bohatera, zajęta robotą pończochy. Tuż przy niej, z twarzą do połowy przedstawiającą się patrzącemu, z podparta brodą na ręku, stoi dwunastoletni chłopczyna z żalem, tęsknotą a nawet i ze łzami w oczach, spoglądając z zazdrością na koleżków wyrzeczających piłkę na podwórzu z wesołością. Przed nim leży książka, główny powód zmartwienia, roztrwarta więc skazująca chłopca na douczenie się lekcji czego widocznie zaniedbał uskutecznić. Choć ból mu serce przenika, a rysy twarzy skrzywione do płaczu, widać w nich jednak wielkie zajęcie zabawą koleżków, gonienie oczami wybiegającej w górę piłki a zarazem myśl o książce nieznośnej, co go trapi swemi literami i trzymając na uwieży szepcze zawzięcie, nie pójdziesz aż się nauczysz! Wyborny ten obrazek był przedstawionym w jednym z pism ilustrowanych w drzeworycie, ale było to ciało bez duszy, pod rylcem drzeworytnika znikł cały wyraz twarzy, tak charakterystyczny a tak wymowny. Wielka to krzywda stała się dla artysty.

Artykuł nadesłany.

Czytując artykuł p. Józefy Żdzarskiej p. n. „Kobieta w obec poezji w pieśni i poezji w życiu“ zamieszczony w kronice Rodzinnej z r. b. w n. 16, zrobiliśmy kilka uwag, ktore racz Szanowny Redaktorze zamieścić w swem piśmie. Autorka przedstawia szereg kobiet przybranych w poetyczne szaty piękna- unika ona widocznie, tak zwanych przez siebie *anio- łów upadłych* i dla tego w przedstawionych przez p. Żdzarską wizerunkach niewiadać żadnego, bo nawet mówiąc o Balladynie dowodzi, że ona nie jest szatanem ale *wielką ideą szlachetnego marzyciela na wielką skalę*. Przypnać należy że autorka pomyliła się w tym względzie, bo Słowacki pisząc Balladynę, nie myślał przedstawiać w niej żadnej *wielkiej idei* ale miał zamiar przenieść do swego utworu postać już stworzoną, aby ją oblec szatą poezji, i dla tego zdaje się nam że p. Żdzarska zapomniała iż twórcą Balladyny a raczej „starszej siostry zabójczyni“ jest nie kto inny jak tylko *lud*, który nie marząc o *wielkich ideach*, miał tylko na celu odtworzyć brzydotę takich istot jak owa „starsza siostra.“ W utworach ludowych po większej części znajdujemy charakterystyki kobiece, przedstawiane ze strony ujemnej jak np. w bajkach o macechach ówych prześladowczyniach swych pasierbic, jędzach, czarownicach ówych uosobionych nieprzyjaciółkach ludzkości itd. to jednakże nie można lud nazwać nieprzyjacielem płci żeńskiej, bo on nie ucąc się psychologii — więcej psychycz-

nie rozróżnia złych od dobrych, jak my należący do klasy ukształcenijszej.

Nie przeczyśmy że na krętej ścieżce życia piewcy znajdowali ideały swych marzeń, które spragnionym podawały pełne dzbanki krynicznej wody, ale one są rzadkimi i drogocennymi unikatami, których nie można wytrząsnąć z rękawa, jakby to się zdawało sądząc ze słów autorki: „J. Kremer dał nam *tylko* jeden obrazek dziewczycy, o srebrnych włosach, świętej czynami, zapatrzonyj w listek róży“...., obok nich nie równie więcej spotkali zimnych jak glazy... „kroplę wody“ wołali śpiewacy rozdzierającym pierśi głosem, a w zamian odpowiedzi odbierali uśmiech szyderstwa. Mamy za złe autorce iż wymieniając kobiety wielkie duchową pięknoscią przemilczała o tych, które blakają się w krainie poezji, jak duchy stracone przez Pana z niebios. Na takim zestawieniu praca p. Ż. zyskałaby, gdyż obok tych aniołów straconych tem jaśniejszą i czystszej zaświeciłyby owe promyczki Aldony, Barbary, Marji, Zosi i innych. Dziwimy się też że p. Ż. przedstawiając podniosłe postacie niewieście naszej literatury zapomniła o tej skromnej nieszczęśliwej Alinie, którą lud uwiecznił w zaklętej fujarce, lub o Lili-Wenedzie, która z tak wielkiem poświęceniem i zaparciem się kocha ojca i braci. Według nas postać tak cudnie piękna nie tylko w ziemskiej powłoce lecz i w duchu, byłaby świetlanym brylancikiem utworu p. Ż.

Te kilka uwag przebiegło po mej głowie po odczycaniu wspomnianego artykułu, które odsyłam do waszego Szanowny Redaktorze pisma.

Bronisław Waryłkiewicz.

N. 93 Przyjaciela dzieci, wyszedł z druku i zawiera: Swoszowice (z drzeworytem). — Los rozbitków z okrętu Adelina Eliza. — Floryda, przez K. P. (z dwoma rycinami). — Według stawu grobla, (komedja opowiedziana). — Dary przyrody, przez Gor... — Pieszczoty matki, (wiersz) Ad. Chodyńskiego. — Rozmaitości. — Nie trafne przymówki (bajki). — T. Mikorskiego. — Myśli i zdania. Cena prenumeraty wynosi w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 5 na prowincji i zagranicą kwartalnie rs. 1 kop. 75.

O UBIORACH.

Ukazały się nareszcie kapelusze zimowe: tem się one różnią od letnich, że tworzą djadem bardziej jeszcze podniesiony, złożony z nafałdowanego aksamitu, piór, kwiatów i kokard zmieszanych razem z sobą. Kapelusz tegoroczny na pierwszy rzut oka, zdaje się znacznie większy od poprzedników swoich, ale przypatrzwszy się bliżej, widzimy że równie jak tamte nie pokrywa ani uszu, ani tyłu głowy, stoi tylko piramidalnie po nad czołem, stanowiąc raczej ozdobę niżli rzeczywisty pożytek. Moda przyjęła ogólnie kapelusz czarny aksamitny, do przybrania używane pióra wszelkiego rodzaju, a szczególniejsz też strusie, i kłama bądź złota, bądź stalowa, przez którą przechodzi wstążka czarna gros grains w bardzo ciężkim gatunku.

Do najmodniejszych należą kapelusze z djademem nafałdowanym w kształcie bereta, spód u nich nie podgarniowany wcale koronką. Szarfy ze wstążki aksamitnej lub gros grains związują się pod brodą lub w tyle pod warkoczem, według upodobania. Czasami dodane drugie szarfy koronkowe, lekko przerzucone pod brodą. Uważaliśmy też u niektórych mały kapturek koronkowy czarny, przeznaczony do zarzucenia na warkocz.

Mieliśmy sposobność widzieć śliczny dobór kapeluszy zakupionych na model przez pauny Kuhnke, w pierwszych magazynach paryzkich. Wszystkie bez wyjątku czarne aksamitne, a jednak wielka uderza w nich rozmaitość, tak pod względem fasonu jak i przybrania. Opiszemy tu niektóre:

Pierwszy kapelusz w formie beretu ma buffę spiętrzoną po nad czołem, z wypuszczoną brzegiem aksamitną falbaneczką. Z boku dana wielka kokarda z wstążki gros grains przewleczona przez sprzączkę

stalową kwadratową, z po za kokardy wychodzi w górę kapłonie piórko, ku przodowi wpięta róża znacznych rozmiarów, z szaremi jakby zmrożonemi listkami. Końce gros grains szerokie, wiążą się z przodu lub w tyle pod warkoczem.

Drugi kapelusz nagarniowany wysoko w górę buffą aksamitną, podpięty bliżej czoła rulonem różowym aksamitnym. Z boku idzie różowa kokardka, a nad nią bukciek z napół rozwiniętej róży, z szaremi listkami. Szarfy aksamitne służą do wiązania. Zarzucony na tył kapturek koronkowy, przybrany z boku różyczką, przysłania cały warkocz.

Trzeci kapelusz ma z boku wielką kokardę ze wstążki gros grains przewleczoną przez kłamerę; z wierzchu upięte strusie pióro. Szarfy ze wstążki, wiążą się pod warkoczem, koronkowe zaś pod brodą.

Czwarty kapelusz aksamitny okrągły z główką płaską i szeroką, w koło nagarniowana rusza aksamitna. Z tyłu spadają cztery pukle z szerokiej wstążki gros grains pokrywające warkocz. Na tych puklach upięte aksamitne skabiozy pomarańczowe z pomiędzy nich wychodzi strusie piórko. Podpięcie to zdobi wyłącznie sam tył głowy.

Piąty kapelusz zarówno okrągły, ma formę śpiączastą, bardzo oryginalną. Opasany wstążką gros grains przewleczoną przez złotą kłamerę. Na samym czubku wpięte dwa krótkie piórka strusie czarne; wśród nich wznosi się wysoko biała egretka. Na tył głowy spadają pukle ze wstążki gros grains. Młode osoby tak panny jak i mężatki, nosić będą w zimie kapelusiki okrągłe, aksamitne i kastorowe czarne. Forma ich wysoka śpiczasta, w rodzaju tyrolskim; główka spłaszczona, rozdzielona na dwoje. Ubranie stanowi opaska ze wstążki lub z aksamitki i fantastyczne piórko orle, krucze lub inne, wetknięte z przodu za rondo. Układ włosów zastosowany do dzisiejszych kapeluszy zasadza się na tem, żeby cała głowa od wierzchu do szyi pokryta była w podłuż dwoma spadającymi i podwiniętymi warkoczami, warkocze te przysłonięte bywają zwykle siatką jedwabną.

W okrywkach tegorocznych zakupionych na model przez pauny Kuhnke dostrzegamy zupełnie nowe pomysły: w niczem one nie podobne do dawniejszych.

Jedna z okrywek z ciepłego Bristolu w kolorze czarnym, miała w tyle kształt chustki, wciętej cokolwiek do stanu; przody w zab tworzyły również chustkę. Rękawy do tego bardzo szerokie, otwarte u ręki. Cała okrywka obszyta czarnym astrachańskim barankiem. Na plecy spada w festonach pletnia z pasmanterji, zakończona kwastami.

Druga okrywka aksamitna czarna, formą zbliżoną do paletota. Bryty z tyłu znacznie dłuższe, przyfałdowane były w stanie, przody krótsze wycięte w dwa ogromne zęby. Rękawy do tego spadające szerokie. Obłożenie futrzane stanowiło główną ozdobę. Uważaliśmy także krótkie płaszczyki korcikowe z pelerynką, w kolorze czarnym, granatowym albo ciemnym fioletowym.

Inne okrywki, z takąż samą spodniczką stanowiły kostium do wyjścia na ulicę, podobał nam się bardzo taki kostium z tkaniny wełnianej w stalowym kolorze. Składał się ze spodniczki do ziemi, przybranąj podwójnym wolancikiem. Na to szedł płaszczyk przyciągany z tyłu na tasiemki. Przody przedłużone, tworzyły jakby końce do mantyli, naszyte wielkimi kieszeniami. Rękawy do tego szerokie, z pod spodu wyglądały wąskie od takiejże samej bluzki. Dopełniała ozdobę pelerynka szczególniej formy z długą kłapką spadającą na plecy, z przodu zakończona w chusteczkę. W koło okrywka przybrana była pliską aksamitną czarną.

Inny kostium z rypsu wełnianego w kolorze ciemno oliwkowym miał spodnicę z takąż samą falbaną. Na to szedł długi paletot objęty takąż plisą, z wypustkami czarnemi atlasowemi, z tyłu ściągnięty z przodu puszczonej wolno, i spięty na rząd atlasowych guzików czarnych. Na plecy spadała pelerynka naszyta rulonami z atlasu.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

N. 19. Krawat męzki z kokardą.

Jak zwyczajna kokarda, wymaga dwóch 25 cent. długich a 11½ cent. szerokich części w podłuż zeszytych, żeby szew w środku na lewej stronie wypadł. Mając sztywną podszewkę we środku, jedna

taka część formuje pukiel, i na brzegu wysiepany koniec. Koniec jeden 2½ cent. szerokiego paska, podszywa się pod kokardę, podwiązaną węzłem. Pod tym ostatnim umieszcza się metalowa maszyna, w którą się następnie wsuwa, drugi koniec paska, stalową klamerką opatrzoną.

N. 20 i 21. Damska krawatka z frywolitkami i szydełkową robotą.

Materiał. Czarna wstążeczka 9 cent. szeroka 100 cent. długa, zielony kordonek w dwóch cieniach. Skrócenie *Pod. węż.* zamiast „podwójne węzłki“ to jest 1 zaciągnięcie i 1 przewiązanie, *p.* zamiast „pikot.“

Krawatkę tę można przyrządzić w każdym kolorze, dając na zaokrąglonych końcach ozdoby z frywolitek i szydełkowej roboty w dwóch cieniach kordonku. Na węzeł marynarski trzeba dać zwyczajny węzeł na jednym końcu, przeciągając przez niego drugi koniec krawatki. Ryc. 21 podaje część szlaczka w naturalnej wielkości. W środku będący szydełkowy sznurek, odrabia się osobno na podstawie 2 pow. oczek, w *pierwsze* ich oczko wrabia się 2 śc. oczka, obraca początek roboty w lewej ręce trzymany z *prawej* strony na *lewą* i przez oba brzegi *przedostatniego* oczka przejmując, robi się *jedno* śc. o. Po odrobieniu w podobny sposób *każdego* śc. o. które tworzy brzeg sznurka, obraca się robotę z *prawej* strony na *lewą* i robi ciągle żeby oczko w oczko wypadało, przytwierdziwszy sznurek na krawacie aż do 15 cent. z obu stron wysoko, dziurkaniem jasnego jedwabiu, jak to na ryc. 21 widzimy. Zamknięte pętelki medaljonu, zdobiące na ryc. 20. środek krawatki, można z ryciny dokładnie rozpoznać, a tak pod węzłki jak pikoty, odrobić jedną nitką ciemniejszym kordonkiem; zębki łączące pętelki między sobą, robią się z przybraniem nitki pomocniczej, z najmocniejszego cienia. Środek medaljonu, zajmuje rząd koronkowych ściągów, z jasnego kordonku. Pikoty zewnętrzne i wspomniony rząd ściągów, przytwierdzają medaljon na krawacie. Brzeg jej zdobią frywolitki czarnego jedwabiu, wielkości pętelek medaljonu.

N. 22 i 23. Kostium „Madeleine“ z peleryną.

Na elegancki ten kostium użyto modnego materiału popielatej wełny „à disposition“ ze szkockimi brzegami. Jest to materiał oddzielnie przysposobiony, garnirunki czyli falbanki z pasowaniem i także listewki, pasek i kokarda odkrawają się z długości sztuki, bo tak są wrabiane umyślnie. N. 23 przedstawia inne urządzenie, na spodnicze w białe pasy, idzie suknia z peleryną, w odpowiednich cieniach z ciemniejszym odpasowaniem na falbankach. Z przodu, przytrzymują ją końce peleryny z tyłu podpina kontrafałda, chwycona 20 cent. poniżej stanika i przytwierdzona w samym pasie w tyle; cięższe, bogatsze materiały, wymagają większej staranności i uwagi, przy urządzeniu sukni, jak na ryc. 23. Peleryna skrzyżowana z przodu i przytwierdzona paskiem z tyłu, formuje rodzaj mantylki, przepiętej od dołu i ozdobionej kokardą, albo rozetką.

N. 24 — 25. Dwie szydełkowe koronki do podwlekania wstążką.

Materiał: Kręcona przedza N. 40 — 50.

Podwleczone kolorowo, koronki takie, często używają do bielizny damskiej jak i dla dzieci, a nawet do poszewek i. t. p.

N. 24. *Koronka w pęczki.* Jako 1 rząd, odrabia się, * 14 pow. oczek wyciągając ostatnie tyle, żeby się w niem mogło zmieścić 15 laseczek. Zanim się te wrobią, trzeba po 14 pierwszych pow. ocz. w dwie wyciągnięte zrobić, 1 śc. oczko, po niem 3 pow. oczka i dopiero 15 laseczek; dalej idzie jeszcze 1 śc. oczko, przyczem szydełko wkłada się w *ostatnie* przed laseczkami robione powietrzne oczko i jednocześnie w *trzecie* (licząc od ostatniego) z 14 pow. oczek. Powtórzyć od *.

2 rząd* 2 śc. łańcuszkowe oczka koło zakończenia muszki, 5. pow. 1. potrójny słupek na 6. oczku dolnego łańcuszka i jeszcze 5. pow. oczek. Powtórzyć od*. Pikoty z 5. pow. oczek w których *pierwsze* 1. śc. oczko wrobić trzeba, tworzą omijając zawsze 1. pow. oczko koronkę górnego brzegu.

Próżny środek muszki zapełnia się węzłkiem wszystkim po skończeniu „broderie à la minute“.

N. 25. Koronka w listki.

W 13 w kółko połączonych pow. oczkach, wrabia się pięć gęstych ząbków, z 3 lasieczek, każdy rozdzielany zawsze 1. śc. oczkiem; ząbki tak obrachować należy, ażeby u prostego brzegu zakończającego koronkę, 2. pow. oczka pozostawały. Każdy taki listek, ma po sobie 7. pow. oczek, tworzących brzeg gładki.

2. rząd. Po jednym śc. oczku na końcu koronki odrobionem, idzie zawsze 5. pow. oczek, 1 potrójny słupek i znów 5 pow. oczek. Wszystko kończą ząbki pikotowe, opisane przy numerze 24.

N. 26—28. Damskie buciki.

N. 26. Bucik do konnej jazdy. Z cienkiej miękkiej kozłowej skóry, odrobiony jak but męzki, bucik prócz ostrogi przy obcasie, ma lakierowane nosy i dość wysokie sztylpy, ubrane jedwabnym sznurem, który się z boku łączy na szeroką kokardę z kwastami, atlasową rozetką przepiętą.

N. 27 i 28. Spacerowy bucik. Bucik z kozłowej skóry, ubrany lakierem w koło i zapinany z boku na guziki; kokarda przy noskach i druga z końcami u góry, stanowi jego ozdobę.

N. 29 i 30. Szmizetka w rodzaju „Watteau“.

Krój na dodatku N. X Fig. 21.

N. 29. Kołnierz „Watteau“ z cienkiego płótna perkalem w paski obłożony. Rycina, przedstawia kołnierz płócienny, a raczej wykład podobny do męskich pół-koszulków, na perkalowej podszewce, obłożony w koło 1 1/4 cent. szerokim ukosem w kolorowe paski z obydwóch brzegów przestembnowanym. Wykrój szyi opatrzone guzikiem i dziurką do zapinania lamuje się 3/4 cent. szerokim ukosem perkalu w pasczki.

N. 30. Kołnierzyk „Watteau“. Rycina przedstawia kołnierzyk z muszliny, tiulowych wszywek i koronki jak powinien leżeć na osobie. Podług Fig. 21 aż do danej na formie linijki przykrawa się muszlin dodając na dopełnienie reszty 1 1/2 cent. szeroką tiulową wszywkę w około, i 2 cent. szeroką nadmarszczoną koroneczkę; tak przyszywie muszlinu do wszywek jak tej ostatniej z koronką, pokrywa muszlinowy 1/2 cent. szeroki, przystembnowany ukos. Końce, czyli żabot kołnierzyka ubiera się podług ryciny 30 nadmarszczoną koroneczką. Kolorowa, atlasowa kokarda, wymaga 11 cent. dużego kwadratu, który się następnie ukośnie, na końce przecina. Jedna z prostych stron kwadratu wysiepuje się na frendzelkę druga fałduje. Na takie dwa końce, spadają dwie puki, tworzące kokardę, z prostej atlasowej pliski 3 1/2 cent. szerokiej a 7 cent. długiej; brzegi tej kokardy wysiepać należy.

N. 31. Szmizetka.

Kołnierzyk przyrządzony z muszliny zwanego „plis-sé“ otrzymuje w koło przestembnowany obręb. Garnirunek przodu, wymaga 1 1/4 cent. szerokiego paska materiału i dwie falbaneczki z przystembnowanymi listewkami. Cztery batystowe guziki zapinają przody. Połączenie kawałka szmizetki pleców z wykładem przednim, dopełnia kryzka, przytwierdzona płócienną, przystembnowaną listewką. Szwów na ramieniu niema wcale, przez co wykład można nosić tak na stanikach pod szyję, jak pod wycięte podłużnie.

N. 32. Szydełkowa koronka.

Materiał: najcieńszy sutasz, kręcena przędza N. 80. Obydwa rzędy pęczków robią się tylko w jednym rzędku, uważając aby każdy dolny pęczek chwycił 1 pikot sutaszu * 1 śc. oczko, 3 pow. 3 lasieczki 3 pow. i znów 1 śc. oczko; na każdy górny pęczek, robi się 7 pow. oczek wrabia w środkowe między niemi

najpierw 3 lasieczki i znów 1 śc. oczko; jeszcze 3 pow. oczka, i powtarza się znów od * pomijając 2 pikoty sutaszu. Górny brzeg, stanowi 1 rząd przeczyszczonych lasieczek.

N. 33. Suknia z wyrobu „Sultane“.

Garnirunek sukni stanowią falbanki z których węższa spada niby nagłówek na szerszą. Tunikę i osobno przyrządzoną baskinę podpinają na szwach pasy wystążek, zakończone kokardami. Podobnie jak wełniana może być zrobiona muszlinowa lub lekka bareżowa.

N. 34 i 35. Spacerowa suknia z baskiną.

Krój baskiny na dodatku N. IV fig. 7 — 8.

Garnirunek sukni z fijołkowej wełnianej tkaniny, składają ukośnie cięte falbanki, wody i riusze stanowiące niby nagłówek z obu stron wody, przytwierdzone aksamitką w cieniu odpowiadającym całości. N. 35 przedstawiający tył baskiny, podaje inny rodzaj garnirunku, w którym falbanki nie są nad brzegiem aksamitką naszyte, ale obstębnowane, a woda przytwierdzona wełnianą pletnią. Na baskinę, podaliśmy pod fig. 7 i 8 przednią część i bok do przodu, tylny bryt prosty ma 85 cent. szerokości, i wełna się w samym środku od dołu, dla uformowania 35 cent. długiego zagłębienia. Przyszywając baskinę do prostego 5 cent. szerokiego paska, prosty brzeg tylnego bryta marszczy się i ściąga na 10 cent. podczas kiedy bryty przednie lekko tylko nadmarszczyć należy. Węższa w górze przodów falbanka, dolny brzeg zdobięca, ma 12 cent. szerokości, buffa czyli woda po nad nią 5 cent. szerokości liczy. Dolna część szarfy, 60 cent. szeroka, 27 cent. długa, prosta u góry, zaokrąglona na zewnątrz, oszyta 6 1/2 cent. szeroką falbaną z nagłówkiem, ściągniętą u góry na 9 cent. wszywa się w tyle w pasek. Podobną cząstkę z podwójnego materiału, 20 cent. szeroką a 10 wysoką, widzimy w górze szarfy, 4 cent. szeroka falbana pod którą idzie riuszka ubiera ją w koło. Zmarszczona na 12 cent. szerokości, część ta stanowi rodzaj kokardy, od której spadają dwa puki 14 cent. szerokie a 32 długie, małą falbanką z nagłówkiem przybrane; poprzecznie dane przepięcie, dopełnia tej strojnej szarfy.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Gruszeki staropolskie.

Bonkrety, panny, a nawet różne inne jesienne lub zimowe gruszeki, obrane ze skórki i potarte o cytrynę, lub w zimnej zanurzone w wodzie aby nie czerwieniły, oczyszczone, wydrążone i przekrajane na półki — ogonków nie psując, rzucac na mocny syrop cukru, smarzyć na szerokiej pokrywie czy płaskim rondelku, nie biorąc od razu wszystkiego syropu, ale w miarę odmieniania gruszek dolewać świeżego po łyżce. Gruszeki wykladać na durszlak, osączyć należy i układać na półmisek; równocześnie ugotuj kilkanaście oczyszczonych jabłek osobno, kilka razy wodę odmieniając. Funt skórek pomarańczowych oczyszczonych z białego włókna, poszadkuj w drobne pasczki, usmarz w osobnym rondelku w gęstym syropie, dołącz jabłka i z gruszek jakąś część to jest wybierając te które się popsęły lub porozrywały — wymieszaj razem masę, nadziejaj gruszeki, układając na przetakach lub papierami przykrytych blachach, susz ale tak wolno, żeby się to suszenie kilka razy powtarzać mogło. Najlepiej suszyć wolno przykryte z wierzchu papierem, bo najpiękniejsze są gruszeki gdy swego słomkowego koloru nie zamienią na ciemny. Skórka pomarańczowa jest najlepszą, gdy ją staranna gospośnia zbiera ile razy się w domu używają pomarańcze; zaraz wykrawać białą powłokę, suszyć na słońcu i chować do słoika, te mają daleko piękniejszy kolor, jak kupowane z niedojrzałych pomarańczę skórek. Pozostały syrop można użyć na gotowanie innych gruszek suszonych na zimę, lub też później jeszcze ten syrop wysadzony do gęstości po-

wideł czyli galarety, bardzo użyteczny w spiżarni do nadziejania eiatek. S. O.

Oliwa do smarowania maszyn do szycia domowej roboty.

Oliwa kupująca się w zakładach najwyborniej zastąpioną być może tłuszczem, wygotowanym i po odszumowaniu zebrany starannie z wolno gotujących się nóg wołowych. Tłuszcz ten kilka godzin w szklannem pozostawiony naczyniu, rozłączy się dostatecznie z opadającymi mętami, wtedy go zlać w inne naczynie, precedzić i zlać do flaszeczek, mając dwojaki użytek, do smarowania włosów i maszyn do szycia.

Oprócz oliwy do smarowania maszyny otrzymujemy jeszcze z ugotowanych nóg wołowych dobrą galarete, pokrajawszy je w kostkę, doprawiwszy w miarę pieprzem i solą, dodając wygotowanego rosolu z tychże nóg, przed włożeniem do zastygnięcia w formę.

Stanisława O.

MAGAZYN

S. DZIECHCIŃSKIEGO.

Po powrocie właściciela z Paryża, otrzymał najnowsze towary i modele stosowne na terazniejszą porę, jako to okrycia z pluszu mienionego i bobrów różnokolorowych, mogących zastąpić futra, także muflki i kapelusiki tego rodzaju. W Magazynie tym znaleźć można również wybór gotowych sukien jesiennych, okryć syberyjnych, wełnowych, aksamitnych, wełnianych i jedwabnych, po cenach najumiarkowańszych.

(11977)

ZAKŁAD

RĘKODZIELNICZO-PRZEMYSŁOWY

DLA KOBIET.

Nowy Świat N. 33.

Podaje do publicznej wiadomości iż z dniem 1-ym Października r. p. nietylko przyjmować będzie bezpłatnie do nauki Introligatorstwa każdą osobę płci żeńskiej od lat dwunastu wieku, niemającą środków opłaty za naukę, lecz nadto po upływie dwu miesięcznej nauki od robót prostych, jak klejenie kopert i torb płacić będzie. Każda osoba chętnie pracująca tygodniowo od jednego do dwóch Rubli i więcej zarobić będzie w możności, co należyć będzie wyłącznie od chęci do pracy.

Do nauki zaś presserstwa litograficznego bezpłatnie przyjmie Zakład tylko cztery kandydatki umiejące czytać i pisać; udzielanie zaś tej praktyki mieć będzie miejsce w dnie niedzielne i świąteczne od godziny drugiej do czwartej po południu.

Nakoniec praktyka buchalterii włoskiej za opłatą miesięcznie pięć Rubli, rozpoczęła się również z dniem 1-ym Października r. b.

(12,129)

R. Schmidt.

Korespondencja.

Panu M. Wie. w Koninie. Od kupna książki i prenumeraty pozostaje rs. 1 kop, 30.

Pani Józefie Gó. Okrycie białe kosztuje od rs. 12 do 15. Do ubrania używana jest frendzla.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.